

CZEŚĆ I

Miasto na bagnach

Elf szybkim krokiem przebył dzielącą go od palisady miasta przestrzeń. Zawsze źle się czuł na otwartym terenie, tymczasem całe przedpole Leth Caer stanowiło szeroki pas równo przyciętej zieleni. Wedle przyjętej strategii obrony pas ten był ostatnią linią, na której można było osłabić wroga, zanim uderzy bezpośrednio na miasto. Teraz obszerne błonia zieleniły się bujną, równo skoszoną trawą, na której pasły się wciąż nieliczne oswojone norimy, bawiły się dzieci, mieszkańcy uprawiali niewielkie poletka, których plon miał niebagatelne znaczenie w razie gdyby wróg zamknął miasto w oblężeniu tuż pod murami.

Ale póki co było do tego dalej niż daleko. Po pierwszym, krwawym starciu z wojownikami Qa, z trudem i wielkimi stratami wygranym, Caer się przeobraziło.

W labirynt kanałów, otaczających wyspę, wypłynęły niewielkie, zwrotne czajki, wyposażone w zgrabne balisty i katapulty, zaś od strony otwartej zatoki chroniły ukrytą wśród porośniętego dżunglą wybrzeża ścieżkę szybkie jak myśl i lekkie trimarany.

Na samej wyspie wreszcie porzucono nierealne plany budowy kamiennych murów. Na podmokłym gruncie ciężki kamień się zapadał, zaprawa pękała. Zastąpiono je wałami skrzyniowymi na bazie drewnianych bali, łączonych w długie konstrukcje. Drewno to był materiał, którego nigdy w Caer nie brakowało.

Ale cóż, twórcy Miasta na Bagnach byli politykami i wizjonerami, nie budowniczymi. Chwilę trwało, zanim dali się przekonać do praktycznych rozwiązań.

No i było jeszcze coś.

To ciekawe, że wystarczyła jedna osoba, jedna kobieta spoza ich społeczności, do tego człowiek, aby otworzyć im oczy ignorujące rzeczywistość.

- Lothel! – jak przywołana jego myślami pojawiła się przed nim jej smukła, drobna postać –
Masz wieści?

Uśmiechnął się, jeszcze w ułamku sekundy wracając myślą do tamtych jej słów.

„Wy nie możecie walczyć z tą puszczą. Nie można walczyć z własnym domem...” Teralka, dziecko lasów nad Wedrą, a teraz devi terphilin, wyjątkowa wybranka bogini Tavar, Powój, stała przed nim w wyczekującej postawie.

- Mam – potwierdził – Minęli rozlewiska nad Tatloc, do wieczora przejdą pierwszą strefę.

- Ilu idzie za nimi? – twarz kapłanki zmarszczyła się troską.

- Poczekaj, Coni – zwiadowca zwrócił się do niej imieniem, pod którym ją poznał, Convolve –
I tak muszę to wszystko powtórzyć jemu. Gdzie jest?

- U mnie w ogrodzie, z dziećmi – westchnęła, podgarniając cienką lnianą sukienkę – Idę z tobą.

Cesarz Świt, twórca Ścieżki Światła, mag i filozof, polityk i okazjonalnie wojownik, Elidis Caernoth, zwykle dbał o to, aby swoim ludziom ukazywać się we właściwej dla piastowanej funkcji postawie. Czasem mu się to udawało.

Natomiast nigdy nie udawało mu się zachować minimum powagi w obecności trójki swoich przybranych siostrzeńców.

- Dawaj! – krzyknęła piskliwie mała, może trzyletnia dziewczynka, siedząca Elidisowi na barkach. Okrzyk był skierowany do jej na oko równoletniego towarzysza, który z przejęciem właśnie wyrwał kwiatki z rabaty tuż obok stolika, przy którym siedzieli. Kwiaty, sądząc po efektach, były

przez dziewczynkę pracowicie wplatane w jasne włosy elfa, tworząc coś w rodzaju wielkiego wianka – Dawaj, jesteście cy!

- Sonja! – Powój krzyknęła tak gwałtownie, że dziecko prawie spadło i z rozmachem zahaczyło małym bucikiem o brodę Elidisa, który podskoczył i oderwał się na chwilę od czytanego tekstu.

- Wujek! – z wyrzutem pisnęła dziewczynka, której ostatni kwiatek wypadł na ziemię – Nie rusaj się!

- Sonja! Mirko! Natychmiast proszę... wyrwaliście moje... psiakrew jasny szlag! – Powój wzięła dwa głębokie wdechy, ewidentnie rozważając, któremu najpierw wyrwać głowę.

- To nie był mój pomysł - powiedziało poważnie trzecie z dzieci, roześmiana dziewięciolatka ustrojona w wianek z kwiatów, kompletnie przeczący jej słowom. Gałązka ogołoconego z liści rododendrona, która w jej drobnych dłoniach dopiero co była (lekkim krzywem) rapierem, właśnie wylądowała w krzakach, zamaskowana za zawadiackim uśmiechem dziewczynki.

- Jasne, Nemi – mruknęła Powój i zdecydowała, komu jednak urwie głowę – Elidis, miałeś pilnować dzieci!

Elf uniósł nierozgarnięty wzrok znad „Dwunastu praw wojny obronnej” Syghierusa v. Ranistesu i z kompletnym niezrozumieniem spojrzął na kobietę.

- Przecież pilnuję...? – mruknął niepewnie, podnosząc głowę. Ciężki od kwiatów wianek zsunął się w tym momencie do przodu, całkowicie zasłaniając mu widok i mocząc wystające z niego kosmyki w zimnym brązowym napoju zwanym criolo – Nosz chole... dzieciaki!

Lothel westchnął, usiadł na ławce, wiedząc doskonale, że poganianie Elidisa w tym momencie doprowadzi do jeszcze większego chaosu. Zamiast obserwować Powój, usiłującą ratować połamaną rabatę i oczyścić dzieci ze słodkiego criolo (lekkim wyskokowym napojem przyrządzonym z nasion rośliny zwanej tu chokolat), zamyślił się.

Rok temu upadł Vekowar. W terenie walczyły ciągle okrążone ze wszystkich stron niedobitki zielonego tymenu, ci, którzy nie zdołali ewakuować się, zanim flota Qa nie odcięła im drogi ucieczki. Ci, którzy nie uciekli w interior, polegli na ulicach miasta w okrutnej rzezi.

Oddziały te w oczywisty sposób próbowały kierować się najpierw ku wybrzeżom, by próbować nawiązać kontakt ze swoimi okrętami.

Ale nad Zatoką panowanie roztoczyły lekkie okręty Qa. Nazywali je sakunatli, co w ich języku oznaczało jakieś myszopodobne zwierzę, w połączeniu ze słowem „woda” Wodne myszy. Sakunatle. Powstawały ze specjalnego rodzaju drzewa, lekkiego, o niebywałej wyporności, nieznanego na północy, splatanego z warstwami trzciny i czegoś jeszcze. To były starożytne modele, Qa odkryli je we własnych archiwach, kiedy tylko na powrót nauczyli się je czytać. Wszyscy wiedzieli, że prędzej czy później ta flota powstanie, że na wody Wielkiego Morza wypłynie nowy gracz. Ale nikt, ale to nikt nie spodziewał się, że stanie się to w przeciągu roku...

Sakunatle były mniejsze od wergundzkich trier i dromonów, szybsze od zwiadowczych liburn. Lekkie i idealnie wyważone były niemal całkowicie odporne na sztormy, wywrócenie sakunatla było niemal niemożliwe. W przypadku zalania pokładu woda przelewała się na wylot przez poszycie bez szkody dla okrętu. Sakunatle nie nabierały wody. Niesposób było je złapać w abordaż, ostrzał z katapult był mało skuteczny, bo załogi błyskawicznie naprawiały uszkodzenia, a strzelający mieli wrażenie, że walą pociski w miękkie masło.

No i ilość... Wojna morska o Zatokę Draghern potrwała dwa lata.

Jesienią 902 roku zjednoczona flota wergundzko-styryjsko-talsojska została rozbita w wielkiej bitwie na Smoczycach. Sztorm i skaliste wybrzeże dopełniły miary klęski. Sakunatle opanowały zatokę i zablokowały Vekowar, przecinając także morskie połączenia z Caer.

Rok później oblężony port zakończył swoją dziejową epopeję, trzyletnie oblężenie dobiegło końca, Vekowar przeszedł do historii w płomieniach pożogi i w strumieniach krwi swoich obrońców. Bohaterskie, zadziorne miasto poszukiwaczy przygód...

Podobno Neyestecae nakazała zrównać je z ziemią... Szkoda. Szkoda tych pięknych podziemnych ujęć wody, szkoda cytadeli i pięknego placu z wagą miejską... Szkoda nagrobnych pomników tych, którzy tam zostali.

Caer zostało samo.

Ale zasilili je ci, którzy zdołali ująć rzezi i przebić się przez rozlewiska i dżungle z Vekowaru aż w deltę Yro.

Miasto zostało otoczone wielkim kordonem. Słowa Powój o tym, że nie można walczyć z własnym domem, otworzyły im oczy. Zaczęli współpracować z dżunglą, z którą dotychczas walczyli. Heroldowie zmierzchu... choć sam Lothel wciąż z sentymentu używał dawnego słowa nyar, przemierzali trzęsawiska, wyszukując i oznaczając tajemnymi znakami bezpieczne ścieżki. Wytoczono sześć pierścieni, objętych osobnymi zaklęciami iluzji, zakładanymi mozolnie co kilka dni od nowa. Drobnymi korektami poprawili naturę, tu i ówdzie blokując przesmyki i kanały, gdzie indziej znów je otwierając. Powstała w ten sposób sieć półnaturalnych akwenów, przepłatanych młaką i trzęsawiskiem, zamieszkałych przez olbrzymie aligatory, śmiercionośne insekty i drapieżne ryby. Kto nie znał systemu znaków lub nie miał przewodnika, musiał prędej czy później wylądować w rozlewiskach, w szczękach drapieżników, a jeśli cud go od tego uchronił, trafiał pod ostrza i pociski obrońców przy jednym z rozlicznych fortów zewnętrznych, rozrzuconych wokół miasta.

Od roku patrole nyar'ów przepatrywały pogranicze rozlewisk, wyłapując sygnały o kolejnych oddziałach niedobitków z Vekowaru. Wychodzili im na przeciw, najczęściej przebijając się przez zagony Qa, i przeprowadzali bezpiecznie przez bariery, pilnując jednocześnie, by nikt nie zdołał przejść za nimi. Od kilku miesięcy nie było już nikogo. Aż do dziś.

Co ciekawe, to Powój przewidziała, że się pojawią, a Lothel ufał jej wyczulonej intuicji. Patrole potwierdziły, że miała rację. Także w tym, gdy mówiła, że niosą ze sobą śmiertelne niebezpieczeństwo.

- El, jest kolejny oddział vekowarczyków – odezwał się w końcu. Jego ciche słowa sprawiły, że Powój nieznośnym sprzeciwu gestem uspokoiła dzieci, a Elidis odłożył lekturę.

- Daleko? – zapytał poważnie.

- Do rana wejdą w nasz pierwszy krąg.

- Którędy idą?

- Przed fortem Estel, najbliższej do błękitnej ścieżki – trasy przejść przez bagna były poznaczane kolorami – Ale nie to jest problemem – przerwał, widząc, że Elidis już szykuje się do odpowiedzi w rodzaju „to niech Szrapnel ich przejmie i po krzyku” – Szrapnel nie może ich przepuścić, bo zaraz za nimi idzie przynajmniej kohorta Qa. Nie odklejają się im od pleców.

- Psiakrew...

- Za późno ich wykryliśmy – wtrąciła Powój- Nikt się już nie spodziewał, że ktoś jeszcze przeżył.

- Nie możemy ich dopuścić do ścieżki... To jest za duże ryzyko... Psiakrew, szkoda.

Lothel w milczeniu wbił w niego spojrzenie ciemnych oczu. Powój uniosła brwi, przez co sprawiała wrażenie, jakby go strofowała.

- Nie patrzcie tak na mnie oboje! – zirytował się Elidis – Mam wam tłumaczyć oczywistości? Ścieżkę otwierają zaklęcia, wskazujące obszar iluzji, wystarczy że ich cholerni kapłani zwęszą choć ślad tych zaklęć i po nas. Wykryją system iluzji i pada cała bariera...

- Mówiłam...

- Tak, wiem, że mówiłaś. Tak, wiem, że musimy założyć tam system osobnych, niezależnych zaklęć, ale wiesz, że brak nam do tego mocy, zwyczajnie, many nie wystarcza i finito. Cholera, jak dzieci... Nie patrz tak na mnie! Mówię o bezpieczeństwie między innymi twoich dzieci, kapłanko!

Powój nie wyglądała na przejętą nagłym wybuchem cesarza, wyglądała na smutną.

- Elidis, nikt z nas nie jest głupi. Wiem, czym to grozi. Ale... ja po prostu czasem wiem. I jest tak, że ja zawsze ryzykuję dla bezpieczeństwa innych i to ... chociaż się nie opłaca, to jednak warto...

- Coni, tak nie można – westchnął łagodniej Elidis – Nie mogę ryzykować bezpieczeństwa miasta dla jeszcze jednego oddziału niedobitków. Rozumiem, co przeszli. Rozumiem, że są już tak blisko. Ale tak nie można.

- Ja wiem, że tak nie można – powiedziała kapłanka, zamykając leżącą na stole książkę – Ale wiem też, że tak trzeba.

Elidis poszukał oparcia w spojrzeniu przyjaciela, ale nie znalazł, więc westchnął ponownie.

- Te kwiatki i tak były brzydkie – mruknął – Idzie gwardia, Zmierch i hierofanci.

- El, to nie fair. Nie karaj mnie za to, że mam intuicję...

- ?

- Nie wysyłaj tam Keithena...

- Zwariowałaś? – uśmiechnął się Elidis – Twój szanowny małżonek był tu przed tobą i oznajmił, że jeśli to prawda, że idzie jeszcze jeden oddział z Vekowaru, to on i gwardia idą po nich i nie ma dyskusji. Naprawdę pomyślałaś, że mógłbym go celowo narażać...?

- Doskonale wiem, że mógłbyś – mruknęła Powój, podnosząc małą Sonję z trawy. Przez chwilę przyglądała się małej z bezgraniczną miłością – W takim razie ja i Beru też idziemy.

Otoczające ujście Yro bagna Morenn były miejscem nienawidzonym i budzącym strach. Trujące wyziewy gnijących roślin i oblepiające śluzówkę moskity zmuszały do zasłaniania całych twarzy szmatami i siateczkami. Alchemicy Caer na porządku dziennym produkowali całą masę specyfików, które ułatwiały przetrwanie na mokradłach, ale przetrwanie było dalekie od komfortu. Każdy głębszy oddech powodował kaszel i nudności, skóra swędziała od ukąszeń, puchnąc wściekle w każdym miejscu, gdzie ubranie odsłoniło choć centymetr ciała. Pot zalewał oczy, nawet po zmroku temperatura była nieznośnie wysoka, a powietrze przepełnione wilgocią.

Każdy mieszkaniec Caer musiał znać dżunglę. Takie było zarządzenie, ale taka była też potrzeba. Lud bagien musiał znać swój dom. Nawet dzieci więc były obowiązkowo prowadzone do dżungli, uczyły się rozpoznawać trzęsawiska, poznawały gatunki drzew, lecznicze rośliny. Każdy dorosły musiał raz na jakiś czas wyprawiać się z patrolem, czy jako zbrojny, czy jako pomoc cywilna.

A jednak przeprawienie zbrojnego oddziału przez bariery zawsze było obciążone ryzykiem i zawsze było wyczynem, który kosztował życie przy najmniejszym choćby błędzie. Zanim strzelcy Keithena i nyarowie Lothela dotarli na miejsce, stracili trzech ludzi bez jakiegokolwiek walki. Żle postawiona stopa. Żle położona dłoń. Wąż. Pająk. Topiel.

Może i przestaliśmy walczyć z naszym nowym domem, pomyślał Lothel, ale on nie przestał walczyć z nami.

Wyszli na granicę dżungli i czekali.

Strzelcy styryjscy, wyposażeni w broń palną, której kilka egzemplarzy udało się sprowadzić, ustawili się na wygodnych pozycjach, gotowi ścianą ognia położyć zaporę dla przeciwnika. Po pokoju w Vekowarwie Styria przysłała na Zapółudnie mocne wsparcie, którego trzon stanowiła przeformowana z Gwardii Arcyksiężęcej Gwardia Południa. Oddział Keithena był tą częścią, którą oddelegowano do Caer, wraz z rodzinami, kilka lat temu. Mieli stanowić styryjskie ramię zbrojne południa – stali się szybko styryjskim akcentem w rosnącej populacji mieszkańców miasta na bagnach. I chociaż musieli przejść ciężką asymilację, podobnie jak inni mieszkańcy miasta, cenili ów biały azyl w morzu zgniętej zieleności. Ostatnią enklawę Północy.

Nie czekali długo. Już po kilku godzinach zaczęli słyszeć przekazywane przez zwiadowców sygnały – zlokalizowali grupę, przejmują ją, nakierowują na „bramę”. Z oddali dobiegły odgłosy walki, krzyki... Wreszcie dostrzegli pierwszych Qa. Strzelcy pochylili głowy pod maskowaniem, zaciskając dłonie na puszkach z żarem.

Keithen wstał i z nonszalancko przełożonym przez ramię muszkietem stanął na środku ścieżki. Wiedział, że go widzą. Poczł kilkakrotnie znajome ukłucie magii, powodujące błysk pod powieką – próbowali go czytać. Zawibrował lekko medalion ochronny. Styryjczyk zmrużył oczy i w myślach wyraźnie powtórzył jedno zdanie, którego nauczył się w narzeczu ludu Qa. W wolnym tłumaczeniu informowało słuchającego, jaki przedmiot z rozmachem powinien się znaleźć w mało politycznej części jego ciała, dodając też kilka słów z grubsza ubliżających pochodzeniu jego rodzicielei.

Jak zawsze nie wytrzymali. Usłyszał wściekłe sapnięcia i śpiew zwalnianych cięciw. Wiedział, że bariera wyłapie pociski. Chciał, żeby skupili się na tym, na magicznej barierze i na nim, żeby nie gmerali po krzakach i nie trafili na zasadzkę.

Policzył. Czterech łuczników. Jeden jeszcze chyba magiczny, za wielkim krzakiem agawy. Mogliby ich zmieść w kilka sekund... Pomimo dobrze działającego zabezpieczenia psionicznego Keithen skarcił się w myślach za ten brak opanowania. Powtórzył obelgę. Znow strzelili. Jeden nawet podszedł bliżej, dając nadzieję na możliwość użycia rapiery, ale uciekł, gdy tylko gwardzista położył dłoń na rękojeści.

Odgłosy walki zbliżały się.

Zobaczył ich po kilkunastu minutach. Mrok rozcinany bladymi błyskami zakłęb i krzykami rannych i umierających. Jeden z ludzi Lothela prowadził ich prosto na „bramę”, a tamci ostrzeliwali się i cofali. Qa najwyraźniej uznali, że to ostatnia chwila, by wykończyć tę grupę.

Jeszcze moment. Minuta może dwie.

Zwiadowca wprowadzi uciekinierów między szpalerami ukrytych w zaroślach strzelców. Szpalery wypalą, gdy tylko pomiędzy nimi znajdzie się pościg, po czym zamkną półkole, stawiając barierę z trzech szeregów, wymiennie – muszkiety, rapiery i piki.

Za ich plecami zwiadowcy wejdą w wyznaczoną ścieżkę i zamkną za sobą barierę, po czym znikną w lesie wraz z ocalonymi. Styryjska tercja utrzyma się jeszcze chwilę, po czym pójdzie w planową rozsypkę, znikając w lesie w małych oddziałach i wejdzie na kilka różnych ścieżek w możliwie oddalonych od miejsca starcia miejscach.

Qa nie odważą się na pościg, zbiorą poległych i będą węszyć dalej na obrzeżach mokradeł, ewentualnie jakiś bohaterski watażka zapuści się poza pierwszą barierę i dokarmi aligatory ciałami swoich ludzi.

Keithen uniósł rękę, widząc zbliżający się oddział, jego strzelcy przyjęli pozycję gotową do strzału.

I wtedy plan przestał działać.

Idący na przedzie grupy elficki zwiadowca padł, rażony potężnym wyładowaniem magicznym. Idący za nim ludzie i elfy stracili orientację w ciemności. Ktoś krzyknął, ktoś padł, ktoś kłął po wergundzku, czyjs przenikliwy kobiecy głos wrzasnął „tamtedy!” i cały oddział, zamiast wejść w „bramę”, skierował się w wielkie trzcinowisko, które zatrzęsło się i pierwsze osoby zapadły się pod kożuch z przeraźliwym wizgiem.

Styryjczyk zaklął.

Qa z wraskiem triumfu uderzyli na tył oddziału, Keithen poderwał strzelców i huk muszkietów zagłuszył na chwilę wszystko wokół. Zanim opadł dym, tercje zmieniły kolejność, rapiery sięgnęły celu i cofnęły się za wysunięte piki, na których zatrzymał się kontratak tubylców.

- Cofać się! – wrzeszczał ktoś z grupy uciekinierów, unisono z wraskiem Keithena – Do tyłu, psiakrew, nie tędy! Linia! Cel! Ognia!

Kolejna salwa osłoniła oddział przed atakiem, ale Qa parli już z boków, wyłapywani przez nyarów, ale wciąż zbyt wolno. Sytuacja wymykała się spod kontroli, zatrzymanie atakujących tak, by można było wejść w ścieżkę, zaczynało graniczyć z niemożliwością.

Keithen rozejrzał się, próbując znaleźć wśród uciekinierów kogoś, kto wspomógł obronę. Przygryzł wargę. Wydostający się z trudem z młaki ludzie byli w oplakany stan. Kilku w ogóle było niesionych na prowizorycznych noszach i włókach, w większości wycieńczeni, z trudem trzymali się na nogach. Niemal nikt nie był zdolny do walki.

Przez chwilę zdawało się, że słusznego wzrostu wojownik w spranych barwach zielonego tymenu zdoła ogarnąć i poderwać do walki swoich. Przez chwilę, niczym żywy posąg Modwita zbierał wokół siebie swoich towarzyszy, próbując zastawić i ochraniać powyszczerbianymi tarczami tych, którzy z trudem wydostawali się z bagna. Przez chwilę nawet udawało mu się odpierać wściekłe ataki wojowników Qa. Przez chwilę.

Potem z rozmachem plasnął w błoto, uderzony strzałą w prawy bark. Jakaś kobieta wibrująco wrzasnęła:

- Eryyyyk! – co chyba było jego imieniem. Keithen pomyślał, że mógł już widzieć tego człowieka. Znalazł wzrokiem Lothela i z jego spojrzenia wyczytał to, co sam już wiedział. To wyglądało źle. Ostatnią ich szansą było to, że w forcie Estel usłyszą ich i zdążą z ratunkiem. Bo po pomoc nie mogli nikogo wysłać bez ryzyka dekonspiracji ścieżki.

- Hej, Styryjczyku! – krzyknęła kobieta, ta sama, która przed chwilą krzyczała. Czarne włosy miała spięte w poszarpany kucyk, twarz choć zapuchnięta i pocięta bliznami, zdradzała urodę o stepowych korzeniach, płaski drobny nos, pełne usta i lekko skośne oczy. Przez ramię miała przerzuconą torbę medyczną i nosiło do noszy – Tamten elf powiedział, że zaprowadzicie nas do Caer... Umrzemy tu, jeśli nie dotrzemy do miasta....

Keithen zacisnął zęby.

- Zrobię co w mojej mocy – mruknął, żeby nie skłamać – Linia! Cel!... OGNIA!!!!

Qa odrzuceni salwą właśnie wracali kolejną falą, w tercji wysunęły się do przodu rapiery... Gdy nagle na ten widok wojownicy tubylców zwolnili biegu, zatrzymali się niepewnie, po czym z krzykiem rzucili się do ucieczki.

Zanim Styryjczycy zdążyli spojrzeć po sobie, w echo wystrzałów wdarł się ryk. Niektórym zdawało się nawet, że ryk współbrzmiał z kobiecym głosem, wyraźnie za to współbrzmiał z łamanymi gałęziami i rozchlapowaną wodą.

Ryk do złudzenia przypominający niedźwiedzia jaskiniowego, ogromnego drapieznika podziemi, który w kłębie miał trzy metry z okładem, a na tylnych łapach – spokojnie dochodził do pięciu. Drapieznika, który nie miał prawa buszować po dżungli na rozlewiskach, gdyż żył w nadbrzeżnych jaskiniach, będąc ich niekwestionowanym władcą. Voghern.

Pędzący niczym taran przez dżunglę voghern ruszył ku przerażonym Qa jak grom, dorwał uciekających bez trudu, tarmosząc ich jak zabawki, przerzucając łapami nad głowę i grzbietem. Siedząca na jego karku drobna kobieta raz po raz pochylała się, by nie zostać przez taki pocisk zrzuconą.

W ślad za jaskiniowym niedźwiedziem truchtem wpadł oddział z fortu Estel, prowadzony przez odzianego w kolczugę wojownika, który z lekkością i fantazją niemal styryjską wykrzykiwał rozkazy, doskakiwał do przeciwnika i na przemian zwodził i atakował, to znów wycofując się do towarzyszy i wracając do kierowania oddziałem.

- Szrapnel, ty stary cwaniaku – wyszczerzył się Keithen pod nosem – My tu prawie umieramy, a ty zgarniesz laury.... – mruknął – Nie ma, nie będę ci stawiał kolejnego piwa.... Gwaaardaa! Linia! Ceeeeel!..... Ognia!

- Dobić każdego! Żaden nie może zostać przy życiu! – zawołała Powój z wysokości grzbietu Beru, który wyglądał na wyjątkowo szczęśliwego. Po pierwsze była noc, więc słońce nie raziło, a

wrodzona zdolność infrawizji ułatwiała zadanie. Po drugie dawno już nie miał okazji się bawić. Po trzecie... po trzecie stado było zadowolone, zdrowe i żywe. Trącił nosem Keithena, po czym położył się ziając płytce wodzie rozlewiska.

- Co ja bym bez ciebie zrobił... – mruknął Keithen, pozbierawszy się z ziemi po powitaniu z voghernem.

- Umarłbyś – uśmiechnęła się poważnie Powój, która w międzyczasie zsunęła się z grzbietu niedźwiedzia i miękko wtuliła się w ramiona męża – Jeszcze nie dziś... – szepnęła – Jeszcze nie.

- Keith! – wrzasnął Szrapnel, wycierając ostrze miecza o odzienie któregoś z zabitych tubylców – Ilu ocalonych? Nie ma na co czekać, wbijamy na niebieską, zanim wrócą z kumplami!

- Dwudziestu trzech – odpowiedziała za Keithena tamta medyczka, podnosząc głowę znad zakładanego na ramię człowieka, nazwanego Erykiem, opatrunku. Keithen spojrzął jeszcze raz i upewnił się, że znał tego człowieka – Nie, dwudziestu dwóch... Jestem Aldea, korpus medyczny kohorty vekowarskiej. Zostało nas dziesięciu. Pozostali to elfy, dołączyli się do nas tam, gdzie Vuitera wpada do Yro, zeszli z gór.

- Elfy? – zainteresowała się Powój – Skąd?

- Z Aenthil – odpowiedziała za nią jasnowłosa młodziutka elfka – Idziemy z Aenthil.

Powój gestem nakazała zamilknąć Keithenowi, który już szykował się do riposty o tym, że nie ma już Aenthil. Elfka wyczuła jego intencje.

- Miasto Aenthil od miesiąca jest w rękach księżnej Helethai. Ealinge wyrzekło się bogów i oddało pod opiekę bogom Zapołudnia. U Białych Brodów nad Izerą dokonała się zdrada Trójprzymierza, Hetanor przeszedł na stronę Qa.

Przez chwilę na pobojuwisku słychać było tylko bzyczenie nocnych owadów. Nawet Beru zamilkł, wyczuwając emocje Powój.

- Więc jednak... Dokonało się – szepnęła kapłanka do siebie – Bogini... Po co kazałaś mi ich ratować? Co jeszcze mogę zrobić...?

Nie czekała długo na odpowiedź.

- Jesteśmy z kasty Tawanien – kontynuowała elfka – Ta na noszach to jedna z naszych przywódców, Noinier z rodu Taeleth. Bogini Silva opuściła Aenthil. Chcemy prosić o nowy dom w murach Caer, w zamian bogini dopomoże w zawiązaniu przymierza między wami a przyrodą tego miejsca. Prawdziwego przymierza. To miejsce stanie się waszym... naszym... domem naprawdę.

Śmierć jest zawsze taka sama

Cadan

Podziemne korytarze zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Miał wrażenie, że maszerują już kilka dni, a od pewnego czasu zupełnie nic się nie zmienia. Porosty płynnie zmieniały kolor, ale po pewnym czasie przestał zwracać na to uwagę. Nie było różnicy, ich przewodnik najwyraźniej nie zamierzał robić postojów. Początkowo korytarze były wysokie, o gładkich ścianach mieniących się opalizującymi w mdłym blasku porostów kroplami. Miał wrażenie, że idą przez kazamaty, choć zapach wilgotnej gleby drażnił przyzwyczajony do górskiego powietrza nos. Ale można powiedzieć, że marsz należał jeszcze do komfortowych. Korytarze były szerokie, tak, że mogli iść ramię w ramię, a grunt był twardy i suchy, bez porozrzucanych drobnych kamieni, które boleśnie wbijają się w czubki palców. Jednak im dłużej szli, tym powietrze stawało się coraz bardziej zatęchłe, a korytarze węższe. Nie miał pojęcia względem, czego orientuje się przewodnik, bo na rozstajach nie wahał się ani sekundy. A podziemne szlaki rozgałęziały się bardziej i bardziej, z każdą chwilą dając im coraz bardziej do zrozumienia, że sami stamtąd nie wrócą. Powoli wypuścił powietrze przez zęby, starając się zrobić to jak najciszej. To właśnie było najgorsze. Ta wszechobecna, przytłaczająca cisza. Miał wrażenie, że ciemność spowija go ja całun, że wciska się do ust i nosa z każdym oddechem, wypełnia płuca lepką, obrzydliwą czernią. Odruchowo zacisnął dłoń na gładkiej rękojeści zakrzywionego miecza, ale zamiast pewności i poczucia bezpieczeństwa poczuł jedynie pustkę. Jakby właśnie teraz zdał sobie sprawy, że nie wie jak w tych ciemnościach i ciasnocie korytarza posługiwać się swoją własną bronią. Bo rzeczywiście, ściany zbliżyły się do siebie, a sufit obniżył tak, że idący na czele, tuż za przewodnikiem, Aituna musiał pochylić głowę, żeby nie szorować czołem o sklepienie. On sam, jako, że był dużo niższy od dowódcy, nie miał tego problemu, ale przytłaczająca ciasnota korytarza coraz bardziej dawała mu się we znaki. Miał wrażenie, że ściany chylą się coraz bardziej i bardziej, a sufit staje się coraz węższy, jakby wchodzili w głąb szczeliny wiodącej prosto w trzewia ziemi. A przecież nie pierwszy raz poruszał się korytarzami. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak czuje się pozostała piątka towarzyszy. Nie mógł dostrzec wyrazu ich twarzy, bo szli teraz karnym rzędkiem, niczym straceńcy na szafot. Ale już od pewnego czasu nikt z oddziału nie powiedział ani słowa. Zamilkł nawet Taldar uskarżający się dotychczas półgębkiem na wszystkie możliwe niewygody podziemnego świata.

Więc musiał przyznać w duchu, że zwężenie korytarza na jednak swoje plusy...

Zatrzymali się gwałtownie, tak, że prawie wylądował na plecach idącej przed nim elfki. Zdążył wyhamować twarz o kilka milimetrów od ostrej szpilki sterczącej z jej wysokiego koka.

-Vex, czemu stoimy? Widzisz coś? - wyszeptał jej do ucha

-Chyba przewodnik z kimś rozmawia- wspięła się na palce, przez co wychynęła odrobinę ponad ramieniem idącego przed nią elfa- Nic nie widzę. Ale tam coś świeci.

Wyteżył wzrok, ale jedyne, co dostrzegł to mdła, bladoniebieska poświata otulająca wszystkie stojące przed nim postaci. Może gdzieś tam z przodu rzeczywiście przybierała odrobinę na sile, ale nie nazwałby tego "świeceniem". Sylwetka przewodnika również była dla niego ledwie widoczna. Zagryzł wargę. Już chyba wolałby maszerować w zupełnej ciemności. Przez ten cholerny mech miał wrażenie, że rzeczywistość wokół jest co najmniej mało realna, a oni już dawno przekroczyli bramy piekieł.

-Idziemy- mruknęła Vex - To chyba jest jakieś bardziej oficjalne wejście.

Rzeczywiście korytarz przed nimi zaczął się zmieniać. Ściany wzniosły się odrobinę, nachyliły, połączyły się pod ostrym kątem. Pod stopami poczuł zupełnie innych chłód niż dotychczas, jakby teraz wstąpił na zamrożoną wodę. Buty ślizgały się lekko i miał wrażenie, że grunt opalizuje, jakby stąpali po szlachetnym kamieniu. Aituna wyprostował się dumnie, górując nad resztą o ponad pół głowy. I teraz zrozumiał, co miała na myśli elfka mówiąc o "świeceniu". Trójkątne przejście kończyło się gwałtownie, otwierając na wielką jaskinię. Całe ściany były porośnięte gęstymi

warstwami porostów, które promieniowały bladym blaskiem, jednak pomiędzy nimi rozkwitały olbrzymie, srebrzyste kwiaty, kształtem przypominające lilie. To one roztaczały wokół siebie poświatę podobną do księżycowej. Wąskie płatki, długie jak męskie przedramię, zdawały się być niemal przezroczyste, a światło wypływało z grubych, tętniących żył, którymi były poprzecinane. W centrum każdego kwiatu pysznił się zwinięty, krwiste czerwony pąk, który jednak pozostawał szczelnie zamknięty. Dopiero po chwili zdał sobie sprawy, że nie rozejrzał się po pomieszczeniu. Po tak długim marszu wąskimi korytarzami nie był w stanie ocenić wielkości. Ale musiało być ogromne. Nie był w stanie dojrzeć sklepienia, ponieważ srebrne kwiaty kończyły się na wysokości kilku metrów. Jaskinia miała kształt lży, a oni wyłonili się na samym jej szycie. Po drugiej stronie widział wejścia o różnych kształtach, oznaczone symbolami, których nie znał. Ściany nie były proste, nachylały się łagodnymi łukami, nasuwając myśl, że sklepienie musi być wyrzeźbione w kształt kopuły. Doskonale widać było, że całe to pomieszczenie jest stworzone sztucznie. Zarówno jego kształt, jak i regularność porastających gładkie ściany porostów i kwiatów były zbyt uporządkowane jak na twór natury. Całość była pusta, jeśli nie licząc dwójki strażników, stojących po obu stronach wejścia, którym przyszli. Zdziwiło go, że jest ich tak mało. Nie był w stanie dostrzec niewielkich otworów zakrytych porostami, stanowiącymi miejsca obserwacyjne dla reszty. Część prowadziła do korytarzy awaryjnych, którymi słano wieści i wzywano pomocy.

Przewodnik wciąż rozmawiał ze strażnikami. Na jego szczupłej, pociągłej twarzy nie było żadnych oznak zmęczenia. Blade policzki pokrywał krótki zarost, który podobnie jak imponujących rozmiarów kita, zafarbowany był na kolor świeżej krwi. W połączeniu z czarnym strojem i sterczącymi, kolczastymi naramiennikami dawało to bardzo upiorny obrazek. Nie miał na sobie zbroi, a jedynie te kilka skórzanych ozdobników, które miały za zadanie dopełniać stroju. Co znaczyło, że czuł się bardzo pewnie na terenie, po którym się poruszali.

-Witajcie w Pierwszej Bramie- skinął do nich głową, przerywając rozmowę z pobratymcami- Stąd zostaniecie odeskortowani bezpośrednio do Irthis'ava, do Serca. Wysłano już zawiadomienie o waszym przybyciu.

-Jeśli to Pierwsza Brama- zapytała Vex ostrożnie, bo dotychczas przewodnik nie był zbyt skłonny do konwersacji- To czy po drodze nie powinniśmy mijać jakiś innych?

-Oczywiście- podziemny elf wyszczerzył w uśmiechu drobne, białe zęby o mocno zaznaczonych kłach- Gdybyśmy szli oficjalnym szlakiem.

Cadan westchnął w duchu i pomyślał, że nie ma co pytać, który jest dłuższy.

Irthril

-Masz się w tym momencie uspokoić- wycodziła przez zaciśnięte zęby w hersha, a ton jej głosu osadził go w miejscu dużo skuteczniej niż słowa- Bo zaraz wbiję ci ten sztylet w dupę i przekręcę. I zaręczam, że wtedy nie będziesz już taki hej do przodu.

Gdyby nie była od niego starsza o te cholerne dwa oddechy to by jej odpowiedział. Ale była, więc zagryzł wargę i odpowiedział jej w myślach. Rozejrzał się też szybko, czy nikt ze stojących w pobliżu nie słyszał tej krótkiej wymiany zdań.

Wymiany, ha, dobre. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio doszło między nimi do kłótni, bo odkąd Nitha znalazła się w szczególnych łaskach Matki, zaczęła się zachowywać jakby między nimi były nie dwa oddechy, a co najmniej dwadzieścia. Ale przynajmniej dzięki temu dziwnemu zainteresowaniu jakim nagle została obdarzona siostra, mógł teraz stać w centralnej komnacie Kryształowej Sali i przysłuchiwać się słowom posłów.

Sprawa oczywiście dotyczyła tej całej Ahi-tere, jakiejś śmiesznej świątyni położonej w zapomnianym przez bogów, elfy i ludzi rejonie, nieczynnej od lat. I oczywiście teraz wszyscy dostali na jej punkcie zbiorowego kręcka, żeby nie pokusić się o dosadniejsze słowo. Nitha raz coś mu tłumaczyła i w tym wywodzie przewijało się często "zbiorniki energii", "centrum" oraz "bardzo

ważne", ale żeby być szczerym to miał to zupełnie gdzieś. Dla niego cała ta sprawa zawierała w sobie jedną, istotną kwestię. A mianowicie- Sephi'Rah, elfka z którą całkiem poważnie zamierzał związać się przez małżeństwo. Nawet poczynił ku temu stosowne przygotowania. I może nawet by coś z tego wyszło, ale została wysłana na kretyńską misję dotyczącą tej nieszczęsnej świątyni, a potem... Potem było już tylko gorzej.

Wszystko sprowadza się do tego, że są różne sposoby, żeby dowiedzieć się, kto zabił ci ukochaną. Jeden z nich, wyjątkowo skuteczny, ale również wyjątkowo upierdliwy, jest ściśle związany z Zakonem Córek Intuicji. Właśnie, dlatego zaoferował im swoją służbę w zamian za wizję tego, który zabił Sephi'Rah.

I właśnie, dlatego czuł się, jakby za moment miał zagotować się z wściekłości.

Bo elf z wizji Wyroczeni stał sobie nieopodal jak gdyby nigdy nic. I dłużył sobie w zębach paznokciem kciuka.

Aituna

-Bardzo nas cieszy, szlachetny Aituna Takawai, wasze nader niespodziewane przybycie, ale wciąż nie możemy wyjść ze zdumienia nad idiotyzmem waszych żądań- oczy Amarah Arde aep Kirth, zasiadającej w centrum półokrągłego stołu, były niczym wypolerowany malachit. Lśniły złowrogo w bladej twarzy okolonej śnieżnobiałymi włosami. Płomienie wysokich świec rzucały na nią długie cienie, podkreślając ostre kości policzkowe i rysując wyraźnie wgłębienia przy obojczykach.

Aituna Disawa Mauru z huanu Takawai sprawował w swoim życiu już wiele funkcji, zawsze z honorem i dumą wykonując zadanie powierzone mu przez t'antsana. I nigdy jeszcze do głowy mu nie przyszło, poddawać sens tego zadania w wątpliwość. Ale jak to mawiają, zawsze musi być ten pierwszy raz.

Doskonale wiedział, że elfka przekreśliła, a raczej skróciła jego miano specjalnie. Doskonale wiedział, że czeka tylko, aż da jej pretekst do czegoś bardziej bezpośredniego niż obelga zza drugiej strony stołu. Kto jak kto, Amarah Arde aep Kirth z racji ukończonego szkolenia była uważana za niebezpieczną nawet przez wojowników Laro. W dodatku był tu, żeby wynegocjować oddanie Ahi Tere, a nie wdawać się w bezsensowne utarczki słowne.

-Racz wybaczyć, szlachetna, że wprowadziłem cię i szanowną radę w konsternację- powiedział ze spokojem, nie spuszczać wzroku ze złożonych na czarnym blacie dłoni wojowniczkii- Ale sprawa jest nagła i bardzo ważna dla przyszłości całego rejonu.

-Doprawdy?- siedząca po jej lewej starsza elfka o łagodnych rysach i włosach utrefionych wokół stelażu z metalu i drogich kamieni- A o jakich to rejon się tak niepokoicie, drodzy pobratymcy z powierzchni?- ostatnie słowa wyrzekła powoli, wyraźnie akcentując końcówki.

Doskonale wiedział, czym skończy się to spotkanie i zastanawiał się tylko, czy zraniona pod Telfambą ręka zareaguje wystarczająco szybko. Spojrzał ukradkiem na stojący za jego plecami oddział i westchnął w duchu. Za piątką wojowników ustawione były półkolem, zamykającym to tworzone przez stół, dobre trzy lub cztery dziesiątki podziemnych elfów.

-Dobrze wiesz, szlachetna, które rejon są obecnie objęte i naszym i waszym zainteresowaniem. Skoro waszym oddziałom udało się już postawić stopę na świętej posadzce Ahi Tere, doskonale zdajecie sobie sprawę z powagi sprawy. Święty ogień nie zapłonie w każdym miejscu...

-Oczywiście, że nie- przerwała mu Amarah, unosząc się lekko- Zapłonie tam, gdzie są odpowiednie rezerwuary energii. Takie same jak w waszej cudownej Telfambie. Nie patrz tak, bo nie dam sobie opowiadać bzdur o przodkach, imionach wojowników i wielkim honorze. Chcecie mieć z powrotem Ahi Tere, bo wszyscy czujemy, że w nadchodzących czasach dostęp do mocy będzie coraz bardziej ograniczony. Dlatego powtarzam ci po raz ostatni, Aituna Disawa Mauru z huanu Takawai, z naszej strony zgody nie będzie- wstała, a oślepiająca biel jej sukni uderzyła go w oczy- Ja też wiele

rzeczy pamiętam. I wiem, że każda bitwa i każda wojna ma swoje prawa. Każda. Ale wystarczająco dużo moich pobratymców zginęło zdobywając i broniąc waszej świętej kuźni, żebym mogła sama przypisać sobie prawa do niej.

-Jestem bardzo zdziwiony, szlachetna, że chcesz, aby zginęło ich jeszcze więcej- warknął przez zaciśnięte zęby, czując krew pulsującą w skroniach aż do bólu.

-Zapraszam- pierwsza Matka Rady Dwunastu rozłożyła ręce jakby chciała go przytulić- Całą waszą nadziemną hołotę przygarniemy w naszych korytarzach z otwartymi ramionami!

Cadan

Wiedział doskonale, co powinni zrobić. Ale trupy nie mają w zwyczaju przynosić wieści. Wiedział też jak poważaną i cenną osobą jest Aituna, oraz jak mocno zaboląłaby cały huan utrata takiej osoby. W dodatku te całe podziemia były dla niego strasznie męczące i jedyne, o czym marzył, to nabrać w usta haust chłodnego, górskiego powietrza.

Dlatego wystąpił, zrównując się ze swoim dowódcą i spojrzął w zielono- niebieskie oczy stojącej elfki.

-Proponuję rozwiązać te sprawę pojedynkiem- skłonił głowę- Stań na przeciw mnie pani albo wystaw któregoś ze swoich ludzi. Przybywamy tu w celu negocjacji, ale od początku, śmieję wybaczyć, jeśli się mylę, żadne negocjacje nie mają miejsca. Jeśli chcesz, szlachetna wskazać nam miejsce w waszym świecie, bądź łaskawa uczynić to w honorowym pojedynku.

W sali zapadła całkowita cisza. Niemal słyszał jak jego słowa przebrzmiewają w kryształach z którego wykonany jest sufit i posadzka. Amarah zaplotła dłonie na piersi i uśmiechnęła się samymi kącikami ust.

-Muszę przyznać, że jestem szczerze zszokowana twoją propozycją- zmrużyła oczy- Nie sądziłam, że którekolwiek z was weźmie sobie do serca tę małą prowokację. Ale cóż...- efektownie zawiesiła głos i przeniosła wzrok na Aitunę- Ja również postawię sprawę jasno. Zgodziłam się na te negocjacje, a musisz mi uwierzyć, że duża część rodów była im przeciwna, bo myślałam, że być może macie nam coś do zaoferowania. Ty czasem musisz ze smutkiem przyznać, że na przestrzeni wieków wciąż nic się nie zmieniło. Przychodzicie tu proponując mi oddanie terytorium, które zagarnęliśmy i które obroniliśmy własną krwią przed najezdami innych nacji, a w zamian oferujecie jedynie brak agresji z waszej strony? Liczę, że wrócicie na powierzchnię i przekażecie swojemu t'antsanowi, że w ten sposób się z nami nie negocjuje. I być może, jeśli bogowie pozwolą i kiedyś spotkamy się w innych okolicznościach, będziecie lepiej przygotowani. A tym czasem chciałabym zamknąć to spotkanie. Oczywiście, wciąż jesteście naszymi gośćmi, więc zostaniecie oddelegowani do stosownych komnat, a w następnej porze nasi zwiadowcy odeskortują was na powierzchnię.

Aituna podziękował jej skinieniem. A on wciąż stał obok, z hasłem pojedynku zastygającym na ustach i nie wiedział, czy ma o tym zapomnieć, wycofać się, czy...

-Ja chcę stanąć do pojedynku- zabrzmiało nagle z drugiego końca sali i poprzez stojące karnie szeregi zaczął przedzierać się wysoki, młodo wyglądający elf. Miał pół twarzy pokryte srebrnym tatuażem, który zajmował również skórę za uchem i na wygolonym boku głowy. Przedstawiał sobą płataninę korzeni, które wyrastały z kwiatu podobnego do tych, które widzieli w Pierwszej Bramie.

Wyszedł przed pierwszy szereg i oparł dłonie na rękojeściach krótkich, zakrzywionych ostrzy, które miał przypięte do pasa. Miał ściągnięte brwi i roziskrzony oczy.

Patrzył na niego dziwnie.

Zupełnie jakby się znali.

Ale przecież... nie było takiej możliwości?

Amarah zaśmiała się, ale klasnęła i wszystkie podziemne elfy rozstąpiły się, tworząc duże koło wokół stołu i ich dwóch. Aituna i pozostała część oddziału również usunęli się sprawnie, a on zdążył tylko dostrzec zaniepokojone spojrzenie Vex.

Wyciągnął miecz, złapał oburącz za rękojeść i ustawił się w zwyczajowej pozycji Hidari Seigan no kamae, z lewą nogą wysuniętą do przodu i mieczem skierowanym na wysokość splotu słonecznego przeciwnika.

-Jestem Irthril Orthogok- powiedział cicho podziemny elf dobywając zakrzywionych sztyletów. Chwycił je dziwnie, tak, że ostrze było skierowane na zewnątrz, układając się wzdłuż zewnętrznej części przedramienia. Stał stabilnie, na szeroko rozstawionych nogach -I doskonale wiem, co zrobicie- warknął i rzucił się na niego w tej samej sekundzie.

Poruszał się bardzo szybko. Zmarkował cios na szyję, ale wprawne oko laryjskiego wojownika dostrzegło niedbałość cięcia i w ostatniej chwili oskoczył, blokując mieczem drugie ostrze, wycelowane w podbrzusze. Zwiększył dystans, chcąc uzyskać przewagę płynącą z długiej broni, i wymierzył cios z góry, prosto w ramię napastnika. Jednak elf prześlizgnął się zgrabnie, tak, że miecz świsnął w powietrzu i znów znalazł się tuż przy nim. Błyskawicznie zablokował górne ostrze, uchylił się przed dolnym i ciął zamasyście, próbując trafić w udo podziemnego. Ten odskoczył, tak, że czubek ostrza musnął go tylko, rozrywając czarny materiał ciasnych spodni i znacząc posadzkę kropelkami krwi z przeciętej skóry. Aż zamarł ze zdumienia, ale zaraz ocknął się i ruszył do ataku.

Cadan spokojnie ustawił się w migi Hasso no kamae i obserwował każdy ruch przeciwnika. Już wiedział, że jest lepszy i, że już za chwilę zakończy ten pojedynek.

Udowadniając tym samym, że jednak warto się liczyć z ich propozycjami negocjacji.

Uśmiechnął się pod nosem.

Poczuł za sobą ruch.

A wtedy ziemia nagle uderzyła go w plecy.

Nie wiedział, czemu nie może nabrać tchu.

Dostrzegł nad sobą szczupłą sylwetkę kobiety, której połowa twarzy pokryta była srebrnym tatuażem, który zajmował również skórę za uchem i na wygolonym boku głowy. Przedstawiał sobą płataninę korzeni, które wyrastały z kwiatu podobnego do tych, które widzieli w Pierwszej Bramie.

Nie rozumiał.

Było mu na przemian zimno i gorąco.

Kobieta trzymała w dłoniach długi, wąski sztylet o zakrwawionym ostrzu.

Uśmiechnęła się.

-Nie ma czegoś takiego jak honorowy pojedynek. Jest tylko śmierć. A ona zawsze jest taka sama- rozbrzmiało mu w uszach i widział jak jej wargi się poruszają, ale wszystkie dźwięki docierały do niego z opóźnieniem.

Zza jej ramienia wyłonił się elf, z którym walczył i kiedy stali obok siebie, miał wrażenie, że srebrny tatuaż zaczyna żyć i splata jedno z drugim. Na ich szyjach migotał bladym błękitem identyczny, jakby przepołowiony, kamień.

Krwawa szrama na szyi Cadana zapieniła się po raz ostatni.

CZEŚĆ II

Martwe miasto

Symeon

Mężczyzna szedł z opuszczoną głową, a długie, brązowe włosy przetykane gęsto pasmami siwizny opadały mu na twarz. Wydawało się, że strażnicy trzymają go jedynie dla porządku, ponieważ w całej postawie mężczyzny nie szło doszukać się nawet załamka agresji czy buntu. Szedł powoli, jakby każdy krok sprawiał mu ból. I może rzeczywiście tak było, bo przecież zanim arcykapłan Izarides znalazł się w tym miejscu, trafił do aresztu, wzięty pod czułą opiekę żołnierzy Małego Ofiru.

Z nieba lał się żar, zmieniając główny placu miasta Itharos w rozgrzaną patelnię. Docierający zewsząd swąd spalenizny był silniejszy niż odór spoconych ciał, ale cała ta kakofonia zapachów przyprawiała o pulsujący ból głowy. Co chwila ktoś mdlał, ale nikt się tym nie przejmował. Wszyscy wpatrywali się w milczeniu w szczupłą, przygarbioną sylwetkę arcykapłana. Mimo, że prawdopodobnie zupełnie nie chcieli. Mieszkańcy miasta Itharos zostali na rzeczony plac spędzeni przez żołnierzy kratistosa Messyny, Theo Tynagirona, od trzech czy czterech dni tytułującego się mianem zdobywcy Itharos. Miasto opuszczone przez styryjskie oddziały poddało się szybko zjednoczonym siłom Małego Ofiru. Wydawać by się mogło, że nawet bogini nie była skora, żeby udzielić wsparcia swoim kapłanom, jakby kłopotą ją w tym momencie coś innego.

Pytanie, czego żałuje- zamyślił się Symeon, przyglądając uważnie całej sylwetce arcykapłana- Bo to, że żałuje, to przecież pewne. Każdy by żałował maszerując na szafot, odprowadzany niczym ponad spojrzenie setek oczu.

Ludność Itharos miała powód, żeby w tym momencie nienawidzić swoich pobratymców z Małego Ofiru. Po tym jak miasto nie wyraziło zgody na kapitulację zaproponowaną przez przedstawicieli zjednoczonych miast, zostało praktycznie zrównane z ziemią.

A właściwie wciąż było.

Spojrzał na górującą nad tłumem sylwetkę kratistosa Theo Tynagirona, który stał niewzruszenie z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Na twarzy kratistosa próżno było szukać uczuć. Całym sobą przypominał raczej rzeźbę niż człowieka, ale Symeon stał na tyle blisko, by dojrzeć burzowe chmury w niebieskich oczach Tynagirona i poziomą bruzdę na czole.

Znaczy, ułaskawienia nie będzie. Nie żeby rozważał to na poważnie, ale przez chwilę przeszło mu przez myśl, że Mały Ofir postanowi darować arcykapłanowi w imię zjednoczenia i odbudowy. Ale jedno spojrzenie na zacięte wargi i ściągnięte brwi kratistosa wystarczyło, aby Symeon zaczął się zastanawiać nie tylko nad losem arcykapłana, ale też całego Itharos.

A szczególnie jego odbudowy.

Bo przecież od kilku dni miasto płonęło. Na niebie kłębiły się gęste, stalowoszare chmury, a w nozdrza gryzł ostry zapach spalenizny. W dodatku wczoraj spadł deszcz i Symeon przekonał się po raz kolejny, że nie ma gorszego smrodu niż swąd zgaszonego pożaru.

Myślał, że nie będzie tak źle. Przybył do miasta dwa dni po tym, jak zostało zdobyte, a na gruzach Izaionu, stanowiącego najwyższy punkt miasta, zatknięto dumnie powiewającą flagę Messyny. Złota litera M świadczyła dobitnie, kto prowadził atak i kto jako pierwszy postawił stopę na odzyskanej ziemi. I okazało się, że Messyna pamięta. Każdy kamień, każdy sztandar zastąpiony przez ten znieawidzony, z czarnym smokiem, każdego żołnierza i każdego cywila. Pamięta krew, strach i łzy. I upokorzenie przegranych.

Pamięta i to aż nazbyt wyraźnie.

Dlatego właśnie miasto płonęło. W duszy Symeona poruszało to bardzo czułe nuty, bo liczył po cichu, że Tynagiron uchroni dziedzictwo Ofiru przed całkowitym zniszczeniem. Jednak z dnia na

dzień dochodził do przerażającego wniosku, że wojna na prawdę rządzi się swoimi prawami i za każdy zniszczony metr Messyny atakujący odbiorą sobie z nawiązką. Trochę rozumiał, a trochę nie. Serce mu krwawiło, kiedy patrzył na splądrowany budynek senatu. Ale to nie on musiał trzymać w ramionach umierających towarzyszy broni, więc nie czuł się upoważniony do oceny.

Kat stojący za ramieniem Theo Tynagirona przestąpił niecierpliwie z nogi na nogę. Pochód prowadzący Izaridesa zbliżał się powoli, a ludzie rozstępowali się przed nim w milczeniu. Nastroje na placu były różne, ale przeważała ciężka, gorzka wrogość. Nie radowano się, że arcykapłana spotka zasłużona kara, bo nie było kary równoważnej do czynu, którego się dopuścił. Śmierć była łaskawym wyrokiem.

Symeon spojrział na metalowe koła stojące na szafocie i przełknął ślinę. Nie był tego taki pewien.

Lekko wspiął się na palce, bo w tłumie utworzyła się wyrwa, którą prowadzono następnych ludzi, mężczyzn i kobiety. Wszyscy mieli na sobie brudne, poszarpane kapłańskie szaty w barwach zieleni i złota. Na ich czołach gorzał brunatną czerwienią symbol Tavar, wyglądający na świeżo wypalony. Kiedy spojrział z powrotem na szafot, gdzie po solidnych schodkach wyprowadzano słaniającego się arcykapłana, dostrzegł, że za plecami towarzyszącego Tynagironowi kata pojawiło się jeszcze dwóch kolejnych.

Ale karny pochód napiętnowanych kapłanów składał się z kilkunastu osób.

Zapowiadał się na prawdę długi dzień i Symeon nie był pewien czy ma ochotę dotrzeć do końca.

Tłum zaszumił, kiedy stojący na szafocie arcykapłan uniósł otwarte dłonie, ukazując pięknie wytatuowane symbole Tavar, skrzące się złoto w rażącym słońcu popołudnia. Złączył je przed sobą tworząc trójkąt z kciuków i wskazujących palców.

Kilka osób z tłumu odpowiedziało tym samym, ale zaraz pojawili się przy nich messyńscy żołnierze, kładąc na ziemię tych bardziej opornych.

Z nieba lał się żar.

Arcykapłan już nie trzymał rąk w górze. Miał je złamane w łokciach.

Theo

Suchymi, swędzącymi dłońmi przetarł zmęczone oczy i miał wrażenie, że tylko wciera sobie w nie gryzący dym. Nawet tutaj, w górnym zamku, pomieszczenia zdawały się być nim wypełnione po brzegi, mimo, że powietrze było zupełnie przejrzyste. A może to przez ten zapach, który tak dobrze znał. Pamiętał wszystko jakby było wczoraj, a przecież minęło już tyle lat. Udało mu się wrócić i niemalże odbudować to wszystko, co umierało w męczarniach na jego oczach. I każdego dnia wracał myślami do obrony miasta, układając jednocześnie plan ataku na Itharos. I każdego dnia dowiadywał się, że to jeszcze nie czas. Że ludzi jest wciąż za mało, a utrata Pana Ognistej Tarczy spowodowała zbyt wielkie straty w bojowej sile kapłanów. Że tamci mają za sobą potęgę Wielkiej Pani, że wspierają ich wojska ulundo, których tak dobrze pamiętał z Messyny. Czasem wspominał jeszcze oblężenie Srebrnohory i dumne, itharyjskie proporce pod symbolem Styrii.

Westchnął ciężko, mimowolnie szarpiąc długą, pobielającą brodę.

Jeszcze parę latek i przyjdzie umierać- zauważył w myślach bez smutku, patrząc na płonące miasto przez wielki, łukowaty portal prowadzący na balkon.

Wstyd było się przyznać, ale śmierć jawiła mu się teraz, jako całkiem przyjemny stan. Poświęcił te wszystkie lata pracując bez opamiętania nad przywróceniem Ofiru do dawnej świetności, jednocześnie mając gdzieś za uszami, że prawdopodobnie nigdy się to nie uda. Pięć miast już nigdy nie będzie równe i zjednoczone, a i w ludziach coś się zmieniło. Mały Ofir, piękne dzieło setek rąk i serc, stanowił namiastkę domu, który pamiętał, a który już zawsze będzie musiał wystarczyć.

O ile nie zaleją go hordy z dalekiego południa, ostatecznie zrównując z ziemią i nie oszczędzając tym razem żadnego miasta. Czasem prześladował go ten koszmar, że budzi się z swojej komnacie, a wszystko dookoła płonie. Może tylko wyjść na balkon, żeby spojrzeć w dół, na zniszczone miasto i obce symbole. I trupy. Wszędzie trupy. Słyszał o potędze wojsk Zapołudnia i wiedział, że nie będą w stanie długo się bronić. Ale jednocześnie był im wdzięczny, bo tylko dzięki nim Styria wycofała swoje wojska z Itharos, zostawiając miasto niemal dziecięco bezbronne w obliczu sił Małego Ofiru.

Drzwi do komnaty otworzyły się z przeciągłym skrzypnięciem, ale nie miał siły ani ochoty żeby się odwrócić. I tak niewiele osób miało dostęp do najwyższego piętra górnego zamku.

-Dziadku, komnen Lukides donosi, że wszyscy kapłani są już w lochach. I, że będą tam tak długo jak to konieczne, oczekując na wyrok zgodnie z twoją wolą. Znaczy, z wolą twoją i reszty, czy coś - w głosie przebrzmiało zniecierpliwienie- Ale stwierdził też, że zaczną już stawiać szafot, bo trochę to potrwa. Na centralnym placu. Mogę iść powiedzieć, żeby jednak się wstrzymał, jeśli chcesz.

Odwrócił się powoli, rozważając, jaki ton obrać. Najmłodsza córka Anamei może nie odziedziczyła po matce koloru włosów, ale na pewno zdolność do przyprawiania go o zawał serca.

Bardzo bladą twarz kobiety okalały krótko przycięte, niemal czarne loki. W szarozielonych oczach widział zmęczenie i zdenerwowanie. Pod pachą trzymała hełm z wysokim, czarnym grzebieniem. Na precyzyjnie wyprofilowanym, skórzanym napierśniku pyszniły się brzydkie, rdzawe plamy. Dowodziła jedną z hetajr, podobnie jak kiedyś on, ale wciąż miała zbyt mało lat i zbyt mało doświadczenia. Pewnie, dlatego w całej jej postawie widział dezaprobatę.

Dla niego.

Dla jego działań i decyzji.

-Nie, to dobrze, że Lukides już się tym zajmuje- odpowiedział i patrzył jaj jej oczy ciemniej ze złości- Wszyscy kapłani mają być martwi przed jutrzejszym zachodem słońca.

-Więc nie możesz po prostu kazać ich zabić?- fuknęła gniewnie niczym kotka- Zamiast czynić z tego teatrzyk dla gawiedzi?

-Moje dziecko- uśmiechnął się pobłażliwie- Kiedy mi właśnie zależy, aby cała gawieź, jak określiłaś, zobaczyła na własne oczy jaka jest kara za zwrócenie się ku styryjskiej bogini.

-Jakby mieli jakieś wyjście- powstrzymała dziecinnie tupnięcie nogą- Od trzydziestu lat to miasto trwa pod protektoratem Styrii i ludzie, którzy wtedy zwrócili się ku bogini zdążyli już odejść z tego świata.

-Rzeczywiście- skostatował ze smutkiem- Uwierz mi Flawio, szczerze żałuję, że nie spotkam się twarzą w twarz z pierwszym arcykapłanem. Jego śmierć pokrzyżowała wiele moich planów, na szczęście...

Skrzypnięcie drzwi przerwało mu gwałtownie. Flawia odruchowo położyła dłoń na bogato zdobionym kordzie przytroczonym do pasa. Już od dziecka poruszała się zwinnie jak kot.

-Szlachetny kratistosie- młody mężczyzna skłonił się z szacunkiem- Melduję, że grobowiec zdrajcy został zniszczony, a ciało przybite do krzyża. Zgodnie z rozkazem ustawiliśmy go na gruzach Izaionu.

Theo kiwnął na znak, że rozumie. Flawia wciągnęła powietrze ze świstem.

-Dziękuję. Możesz wracać do swojego enomu.

Mężczyzna zasalutował, a gdy wyszedł zapadła głucha, ciężka cisza. Theo Tynagiron, kratistos miasta Messyna czuł na barkach coraz większy ciężar i miał podstawy by sądzić, że niedługo przygniecie go do zdobionej posadzki.

-Czy ty masz... -zaczęła Flawia, ale nie dokończyła, kręcąc tylko głową. Niezależnie od bliskich relacji, które łączyły ją z dziadkiem doskonale zdawała sobie sprawy z cienkiej linii za którą Theo był już tylko kratistosem.

-Nie zachowuj się jakbyś miała znowu dziesięć lat i ukarałem twojego psa za pogryzienie kucharza- podszedł i położył jej dłoń na ramieniu- Myślisz, że jestem okrutnym człowiekiem? Dobrze, może jestem. Ale obys nigdy nie musiała uczyć się na własnej skórze, że inaczej się nie da. A jutro osobiście dopilnujesz, żeby na placu znaleźli się wszyscy obywatele Itharos, a w szczególności ci ściśle powiązani z Nową Styrią. Wezmiesz swoją hetajre i choćbyście mieli wywlekać matki z małymi dziećmi, to właśnie to zrobicie. Rozumiesz?

Patrzył na jej młodą, zaciętą twarz i zastanawiał się czy kiedykolwiek był taki sam.

Może kiedyś.

Ale nie bardzo to pamiętał.

-Oczywiście- skinęła sztywno- Rozumiem, szlachetny. Czy mogę już iść? Mój mąż został poważnie ranny i chciałabym być przy nim zanim zajmę się spędzaniem itharyjskich cywili, żeby mogli popatrzeć na obdzieranych ze skóry kapłanów.

Odwróciła się na pięcie i wyszła sprężystym krokiem, trzaskając drzwiami.

Theo zapatrzył się na płonące miasto.

Już nigdy nic nie powstanie na tej ziemi.

Ta ziemia od dawna jest martwa.

Jak ja.

Pólnoc

Poszarpane szczyty Wzgórz Skienbyrge odcinały się czarną linią na tle rozgwieżdżonego nieba. Iskry, idące z ogniska gjetarów, wlatywały ku niebu, mieszając się z dywanem gwiazd, rozświetlających nieboskłon. Siedzący przy ogniskach raczyli się kirsą i topionym serem, ktoś śpiewał zawodzącą balladę, której echo odbijało się od skał i pastwisk, ktoś ostrzył toporek, ktoś zszywał skórzaną sakwę, klnąc głośno. Niedaleko owce tupały i ciapały przy wodopoju.

Ukryci w cieniu poza kręgiem ognia zbrojni przypadali niziutko do ziemi za każdym razem, kiedy ktoś z siedzących przy ognisku wstawał lub podnosił głowę. Czekali na hasło, a tymczasem ich dowódca, ukryty tuż za winklem niewielkiego szałas, słuchał. Siedzący najbliżej gjetarzy rozmawiali całkiem głośno, czując się swobodnie i bezpiecznie pod czujną strażą kolegów... kolegów, którzy już dawno byli obezwładnieni i związani.

„Dunharrow” – wyłapał z ich rozmowy i wycężył słuch.

- Mają łąki rychtyk jak dla naszych dorsetów, siumna tłusta trawa...

- Bydzie z tego bida...

- Aj tam, weźże nie bǳdzij mnie tu.

- Jak się pǳdzie, a poniesie, że dla Dunharrow'ów robimy, to bydzie bida. Stary pan Halfdan nie przepuści.

- A to juże nie moje troski, ino Kilkeranów. U nich praca dobra, owce dobre, rasowe, nie jakieś posrane wrzosówki, co mnie ich z Borgh Du sprawy... Lepiej się zastanów, co z temi dedułami zrobić, co ich chłopaki połapali.

- Na porwóz ich – zawyrokował drugi – To śmierdziuchy są, gizdoki borowe, Leemi zapaćkani, samnijskie pomioty.

- No, nie samnijskie one, chociaż podobne...

- Mówia przeca, że samnijskie. Oni się z leszymi i wilkunami kumają, pono znowu nad Glatendall dzieciaki cosik zażarło, baby na targu mówiły....

- Weźże wstydzilbyś się po babach ploty powtarzać. Ci tu ucapieni na kradzieży owcy, do turmy pǳdą.

Krótką tę wymianę opinii gjetarów przerwał krzyk.

- Chopy, na nogi! Thorbjorn i Brywen znikli!

Na polanie zakotłowało się, każdy z tam siedzących broń miał pod ręką, jedni łapali za pochodnie, inni gotowali łuki czy topory, gotowi do ataku. Hovgjeter, dowódca zbrojnych pasterzy, potężnej budowy, a niemłody już mężczyzna, wydawał polecenia sprawnie i bez namysłu, a pozostali słuchali karnie niczym oddział wojskowy.

Skryty w mroku młody wielmoża westchnął, wiedząc, że nie będzie już lepszego momentu na atak. Złożył się do strzału, celując w postać dowódcy, starego Kettila Utansona. Strzała jęknęła w powietrzu, hovgjeter trafiony w kolano upadł na ziemię, jednocześnie rozległ się gwizd i czający się dotychczas wśród traw zbrojni wypadli do nagłego ataku.

Ognisko zdeptano i przez dłuższą chwilę było słyhać głównie krzyki walczących i szczęk broni. Gjetery bronili się zażarcie, ale przy kilkukrotnej przewadze liczebnej przeciwników musieli w końcu ulec.

Orm Halfdanson Borgh Du nie brał udziału w walce. Spokojnym krokiem cofnął się do zostawionych za skałami koni. Pilnujący ich ludzie na jego znak podążyli za nim, ciągnąc za sobą także wcześniej schwytyanych jeńców.

- Kettil Utanson z Glattendal – oznajmił, wjeżdżając konno pomiędzy swoich ludzi, trzymających obezwładnionych już pasterzy – Hovgjeter rodu Kilkeran – zeskoczył tuż przez twarz wojownika, na której widniała wściekłość i ból.

- Panicz Borgh Du... – stęknął z trudem – Nie weszliśmy wam w szkodę, panie, czegoż nam wstręty czynicie...

- Nie weszliście... – szlachcic uniósł brwi – Wtedy byście tu już ziemie gryźli, a zważ, że rozmawiam z wami żywymi. Jeszcze – zrobił efektowną pauzę i udał, że nie zauważył ciała jednego z chłopców, który poległ w starciu – Nie weszliście w szkodę, ale napluliście na wiekowe porozumienie naszych rodów, zdeptaliście szacunek dla pokoleń naszych przodków – kontynuował z udawaną, ironiczną emfazą – Na czyich polanach wypasacie owce Kilkeranów?

- Panie – zająknął się hovgjeter – To nie jest moja sprawa, z kim ród Kilkeran się dogaduje o wypas owiec. Ja tylko szkolę chłopców... Panicz Vestein powinien wrócić ze zwiadów zaraz, to z nim pogadacie...

- Panicz Vestein Hrufnson, powiadasz... – młody Borgh Du dał sygnał ręką, jeden z jeźdźców zrzucił brutalnie z wierzchowca przerzucony przed sobą przez siodło pakunek, który okazał się być człowiekiem. Pozostali zdjęli mu z głowy wór, ukazując opuchniętą od bicia twarz młodego mężczyzny – Ten?

Hovgjeter spojrzał na swego suwerena z niepewnością i zrobił gest, jakby chciał wstać do niego, ale trzymający go zbrojni kopnięciem zatrzymał go w pozycji klęczącej. Borgh Du kontynuował:

- Więc mówisz, że nie twoja sprawa i masz rację. Ale jego sprawa. On to, łamiąc tradycję i porozumienie rodów, wyrażając pogardę dla mego ojca, kazał wyprowadzić swoje stada na Niskie Ziemie, na łąki Dunharrow'ów. Tak? Ty zaś to wykonałeś. On więc winien? Czy ty? Któremu z was dwóch winienem obciąć jajca....?

Stary pasterz zmrużył oczy, jego głos zabrzmiał nagle poważniej i spokojniej.

- Uważaj, paniczu Orm. Byś mógł komu co obciąć, wyrok musi thang wydać, a i ja i Vestein jesteśmy krwi szlacheckiej. Wielkim szacunkiem twego ojca darzę i ostatnią rzeczą, jakiej mu życzę, jest to, by zawisła mu nad głową wróżda rodowa.

Orm z wściekłością wciągnął powietrze i wyszarpnął zza pasa kindżał o samnijskim ostrzu, doskoczył do klęczącego gjetera, przykładając mu ostrze do gardła. Tamten nawet nie mrugnął.

- Nigdy mi nie groź, Kettilu Utansonie – warknął wielmoża gniewnie – Złamaliście pakt, złamaliście zasady, dogadaliście się ze zdrajcami!

- Nie trzeba było żądać trzykrotności poprzednich kwot za łąki za Skienselvą! – rzucił hovgjeter, ale przeszarżował. Tamten co prawda nie docisnął ostrza, ale potężnym uderzeniem rękojeścią posłał starego na ziemię.

- To by był na tyle – sapnął gniewnie, stojąc nad nieprzytomnym – Dość tego. Ich broń na kupę zebrać, tych tu puścić w samych gaciach. Owce zabieramy jako rekompensatę naszych strat. I cieszcie się, że tak mało!

Gdy nieliczna kawalkada jeźdźców zmierzała w dół z łagodnego upłazu między skałami ku Skoelholt i jednemu brodowi na Skienselvie, zza ostro ściętego wzniesienia wyłonił się drugi oddział. Dziesiątka konnych, uzbrojona niejednolicie głównie w krótkie łuki, włócznie i scramasaxy, odziana była lekkie nabijane metalem kamizele, których wspólnym elementem była zielona szarfa, noszona podobnie jak płaszcz przy kilcie – na skos przez pierś, spięta na ramieniu wielką zapiną. Jeźdźcy szerokim kołem okrążyli oddział Orma, dając im chwilę na rozpoznanie zamiarów, po czym zrównali krok ze zbrojnymi Borgh Du.

- Sława, panno Ruadhagall.

- Sława, paniczu Borgh Du. Łowy udane?

- A jakże – sarknął Orm – Mielicie jednak nam pomóc w obławie, a tak zanim ich w kocioł zapędziliśmy, to pół nocy przebieżało.

Rudowłosa kobieta nazwana panną Ruadhagall skwitowała pretensje wielmoży uniesieniem brwi.

- Ludzie Leifa nie są waszymi pachołkami od brudnej roboty, Borgh Du. Byłoby dobrze, abyś o tym pamiętał, tak jak twój ojciec o tym pamięta.

- Uważaj, Aoife – warknął, przechodząc na bezpośredni ton – Może kiedyś nadejść dzień, gdy ojciec przestanie was wspierać. Wtedy na Wysokich Ziemiach także staniecie się wyjętymi spod prawa.

- To będzie bardzo smutny dzień dla domu Borgh Du – uśmiechnęła się zjadliwie Aoife – Bo wtedy my przestaniemy wspierać waszego ojca. Nie życzę mu aż tak źle. Ale póki co – złagodziła ton, nie chcąc brnąć w płonną kłótnię – Są jakieś istotne wieści z południa, Halfdan zwołał wszystkich swoich chorążych i sojuszników na godzinę świtu. W Sibrfjell będzie tłok...

- Hirdy książęce w sojuszu z czarnym tymentem miały przyjąć walną bitwę, może są już wieści.

- Żaden Tryntyjczyk nigdy będzie sojusznikiem Wergunda – skwitowała Aoife – Jeśli taki sojusz zaistniał, te hirdy nie mogły być więc tryntyjskie...

Do Sibrfjell dotarli jeszcze przed świtem, niebo ledwie szarzało. Orm oddał konia stajennym i ruszył schodami do komnat rodzicielskich, opanowując drżenie dłoni. Na chwilę jego wzrok odciągnął tylko widok znajomej twarzy na dziedzińcu.

Wziął głęboki wdech i ukłonem oddawszy salut wartowników nacisnął wielką, żeliwną klamkę.

Halfdan Sverdason i Muireann Fienadottir Borgh Du byli jedną z niewielu par możnowładców, którzy sypiali w jednej alkowie. Właściwie spędzali wspólnie większość czasu i całe skrzydło fortecy na przełęczu Silbr było przeznaczone na ich wspólne prywatne komnaty.

Muireann, pomimo mijających lat wciąż oszałamiająca urodą, podeszła do syna, który na środku izby przyklęknął na kolano, i ucałowała go w czoło. Halfdan, senior rodu Borgh Du, najpotężniejszy możnowładca północy, nie zmienił pozycji ani nie oderwał wzroku ni ręki od pergaminu, na którym pisał.

- Twoje polecenie wykonane. Kilkeran nie będą więcej knuć z Dunharrowami – zaczął niepewnie Orm, ale umilkł. Ojciec wciąż pisał i nie przerywając tej czynności odezwał się bezbarwnym, nie zdradzającym emocji tonem.

- Kazałem ci odwieść Kilkeranów od myślenia o zmianie suwerena, nie zaś przywieść ich do wojny z nami.

Orm pochylił głowę i zacisnął szczęki. Wiedział, że wiadomość dotrze do ojca zanim on sam zdąży ją przekazać.

- Co oprócz niewątpliwej osobistej satysfakcji przyniesie upokorzenie syna Kilkeranów? – retoryczne pytanie zawisło w powietrzu. Młody otworzył usta, ale nie odważył się odpowiedzieć. – Otóż to, synu, że w tej chwili ich ród trzyma przy nas szacunek, jaki stary Hrufn żywi do mnie, oraz jego strach przed moim gniewem. Gdy ja i Hrufn odejdziemy, zostanie strach Vesteina przed tobą i jego do ciebie bezbrzeżna nienawiść. Upokorzyłeś go przed jego ludźmi. Zamiast wiernego sojusznika zyskałeś siłą przymuszonego wroga. Co zrobi, gdy nadarzy mu się okazja odpłaty....?

- Ale.. – Orm w końcu odważył się odezwać – strach ... – Halfdan podniósł wzrok znad stołu i Orm umilkł natychmiast, pochylając nisko głowę.

- Strach jest narzędziem, którego trzeba umieć używać, bo łatwo może okazać się obosieczne. Ty zaś użyłeś go dla własnej niskiej satysfakcji. Pojedziesz do Bogarness – spojrzał uważnie w twarz syna, szukając oznak sprzeciwu – Nie teraz, za tydzień.

- Tak, ojcze.

- W siedzibie rodu przekażesz mój dar w postaci łąk nad górną Skienselvą aż do Bryn. Powiesz, że to po to, by nie musieli więcej szukać oparcia u ludzi z Nizin.

- Tak, ojcze.

- Ketilowi z Glatendall wypłacisz nawiązkę za straty. To mój towarzysz broni z dawnych lat, człowiek, którego należało uszanować.

- Tak, ojcze.

- A potem wybierzesz dobrego hevdinga i wyślesz na ziemie Dunharrow, podziękować. Na górnych pastwiskach żeby mi żaden szalaś i żaden gjeter nie został cały. Zrozumiałeś?

- Tak, ojcze....

- A teraz dość o tym.

- Tak...

- Nie chcę, żebyś się o tym dowiedział wraz z innymi, chcę żebyś był uprzedzony. Wojska Sygdryne wraz z ich wergundzkimi poplecznikami poniosły klęskę pod Arden.

Orm podniósł głowę gwałtownie, zaskoczony tą wieścią.

- Jak to...?

- Nikt nie wie, jak to. Idzie na nas nawała połączonych sił Zapołudnia i Samnijczyków. Siły Verdenów rozbite, Bon Carraigh obleżone, niedobitki cofają się na północ. Musimy zebrać sojuszników. Twój brat wraca już z ziem Darrok, znaczne siły płyną ku nam wzdłuż wybrzeża.

- Hersteinn podjął z nimi walkę? Czy to nie zbyt ryzykowne...?

- Oczywiście, że podjął – Halfdan starannie odłożył pióro, zamknął ozdobny srebrny kałamarz, posypał świeże pismo drobnym piaskiem, po czym wstał i podszedł do syna – Zapamiętaj jedno – rzekł poważnym tonem – Twój młodszy brat jest najlepszym taktykiem, jakiego wydały ziemie północne od całych pokoleń. Nie mówię tego dlatego, że jest twoim bratem, ale dlatego, że w przyszłości przejmiesz po mnie władzę nad Przełęczą i odpowiedzialność za ludzi na Wysokich Ziemiach. I ważne jest, abyś wiedział, jak zdolni dowódcy będą ci służyć. Młody Kilkeran też jest odważnym i sprawnym zagończykiem. Będziesz wodzem. Będziesz stał na czele, a to znaczy, że będziesz stał plecami do swoich dowódców. Nigdy nie zrażaj do siebie tych, do których musisz stać plecami.

- Tak, ojciec – Orm pochylił głowę z westchnieniem – To dlatego wezwałeś nawet jarla Skene? Czy przyjmowanie rodu wydziedziczonych nie osłabi naszej pozycji?

- Skene to szlachetny i starożytny ród – Halfdan przyjął podany przez Muirean płaszcz i bez protestu pozwolił, aby z ciepłą starannością zapięła fibulę – Nie wiem, czym się skończy obecna zawierucha, synu.... Być może oprzemy się najazdowi. Być może nie. Być może upadnie Trynt. A być może upadną tylko Vardenowie i korona Tradamonitów. Kim jednak byłbym, jak spojrzalbym w oczy mojego ojca, naszych przodków, gdybym nie przyjął w pierwszej kolejności odpowiedzialności za nasz ród, za dom Borgh Du? Królestwa powstają i upadają, synu. Zaś więzów krwi nie da się rozerwać, wyprzeć, wymazać. Odpowiadamy za nasz ród i za tych, których ma pod opieką. I weźmiemy na siebie tę odpowiedzialność. Niezależnie od tego, czy Trynt będzie istniał, czy nie. A teraz daj mi chwilę, zobaczymy się w Sali Rycerskiej.

Orm przyklęknął przed ojcem i ucałował go w prawą dłoń. Nim umilkł na korytarzu stukot jego butów, Muirean objęła męża i wtuliła się w jego ramię.

- Boję się tej zawieruchy.

- Wiem. Ja także – odpowiedział, odgarniając delikatnie jej czarne włosy, przetykane lekką siwizną.

- Orm nie jest jeszcze gotowy.... On wciąż jeszcze tak wielu rzeczy nie rozumie.

- Ja jeszcze nie odchodzę, Muire – uśmiechnął się stary wielmoża – A Orm będzie musiał uczyć się szybciej. Nie mamy już czasu. Trynt runął, teraz zacznie się wyścig o to, kto zagarnie więcej z jego gruzów. Musimy mieć kontrolę nad tymi, którzy po nie popędzą, jak Skenowie czy Ludzie Leifa. Przyjaciół trzymam blisko, ale wrogów bliżej. Kto wie, co na tych gruzach zostanie zbudowane...

Muirean podniosła głowę i pocałowała męża w policzek z uśmiechem.

- Chodźmy więc. Może i świat się wali, ale do południa obiecałam jeszcze siostrzyczkom z chramu Widy, że odwiedzę ich podopiecznych.

- Tych niespełna rozumków? – Halfdan się roześmiał, pełen podziwu dla dobrego serca małżonki. Ona też się roześmiała.

- Tychże. I sieroty. Wojna nie będzie zmieniała moich nawyków. Chodźmy więc.

CZEŚĆ III

Białe Brody

Rzeka Izera była jednym z licznych północnych dopływów Loreniss, olbrzymiej rzeki, tnącej w poprzek potężne połacie dawnej Puszczy Południowej. W jej dolnym biegu, tuż przed tym, jak wtlaczała swoje żółtawobure wody w koryto swojej większej siostry, Izera nosiła znaczące ślady dawnej działalności Alta Tavar. Upiornie powyginane drzewa moczyły swoje nienaturalnie długie i wiotkie jak ludzkie włosy gałęzie w nurtach rzeki, kamienie o kształtach zwierząt prężyły się na odkrytych polanach, czasem można było nawet trafić na postarzałe pnie, które do złudzenia przypominały wchłonięte ludzkie lub elfickie twarze... Nimi też w rzeczywistości były, natrafienie na takie znalezisko w środku nocy mogło kogoś ze słabymi nerwami przyprawić o niezłą panikę.

Styryjczycy byli w większości uodpornieni na te typowe dla swego kraju zjawiska, wergundzcy żołnierze zielonego i burego tymenu za każdym razem reagowali na nie niezwykle nerwowo, natomiast wojownicy z hetanorskich oddziałów ohtat i lutha zaciskali pięści i szczęki. Nieraz blisko było do spięć między nimi, a żołnierzami pertamy styryjskiej, nieraz zresztą do spięć dochodziło. Zwykle kończyły się one interwencją oficerów obydwu armii.

Ostatnio było tego coraz mniej, zwłaszcza, że połączone sztaby zdecydowały o rozdzielaniu miejsc stacjonowania sojusznicznych oddziałów. Owego wieczora szósta i piętnasta kohorta zielonego tymenu dostały za zadanie zabezpieczenie przeprawy na Białych Brodach, jednym z nielicznych miejsc, gdzie Izerę można było przekroczyć bez wielkich strat i budowy mostów pontonowych. Szlak, prowadzący przez Białe Brody, stanowił jednocześnie bramę na północ, ku odległemu o mniej niż 50 mil leżącemu nad Loranis Styragradowi. W trójkącie pomiędzy rzekami planowane było położenie kolejnej linii frontu i kolejna próba zablokowania marszu nieprzyjaciela na północ. Pozostałe kohorty wergundzkie przeprowały się wprost przez nurt Loranis poniżej miejsca, gdzie wpadała do niej Izera, tuż obok osady flisackiej Raagardre, zaś główne siły styryjskie miały przeprować się w górze rzeki, w rejonie wsi Kizafiera.

Ohtat przeprowali się pierwsi na północny brzeg Izery, mając za zadanie zabezpieczyć północno-zachodnią flankę na wypadek, gdyby Qa jakimś cudem jednak przeprowali się w górnym biegu rzeki, a zwiad z jakichś powodów zawiódł. Mieli też zabezpieczyć łączność między wszystkimi miejscami przeprawy połączonych armii. Piętnasta kohorta wraz z pertamą i gwardią arcyksiążęcą stanowiły ariergardę przedsięwzięcia w rejonie Białych Brodów, mając bronić południowego brzegu tak długo, jak długo da się utrzymać tam przyczółki, a kiedy już się nie da, ewakuować się na drugi brzeg, blokując bród styryjskimi muszkietami i magią. Stanowili część długiej linii frontu, mającego osłonić przeprowę i dać czas na przygotowanie obrony na północnym brzegu.

Rolf, dowodzący od roku piętnastą kohortą, skrzywił się z irytacją. Nie podobała mu się lokalizacja, jaką im przydzielono, błotnisty, nisko położony obszar z jednym tylko wzniesieniem, dającym możliwość jako takiej obserwacji w terenie. Niemal żadnych naturalnych osłon, w większości gęsta roślinność, nie dająca wielkich szans na ustawienie sensownego szyku, tym samym znów w teren musieli ruszyć velici i łucznicy, skutiaci znów będą się nudzić, czekając na wieści i nie mogąc się ruszyć, a potem znów będzie desperackie cofanie flanki i defensywa pod naporem wariackich ataków przeciwnika.

- Masz minę, jakbyś zeżarł kocie ścierwo – mruknął Gezwog do przyjaciela, poprawiając mocowanie tarczy – Wiem, do bani to miejsce, ale nie przesadzajmy, bywało gorzej.

- Ja wiem, że bywało – sarknął dowódca – Ale wolałbym, aby pobywało jeszcze trochę. Będziemy tu siedzieć na dupie dobry tydzień jak nic.

Przez chwilę wydawało się, że los zakpi z jego słów, bo obaj mężczyźni poderwali się podobnie jak pozostałych kilkudziesięciu Wergundów z piętnastki, na huk styryjskiego muszkietu, który rozległ się zdecydowanie za blisko nich. Potem drugi, piąty i kolejny. Zanim ktokolwiek zdążył zapytać, co się dzieje, niemal automatycznie, bez rozkazu, piętnastka zajęła pozycje, skutiaci nacisnęli na spocone czoła hełmy i dociągnęli pasy przy migdałach, hasti skoczyli na tylne pozycje, velici w las, ktoś machnął chorągwią, gwizdnęły sygnałówki. Zanim przebrzmiał ich dźwięk, cała kohorta stanęła w gotowości, zastawiając wielopoziomowym szykiem cały obszar między wzgórzem Seith, a grzędzawiskami bez nazwy, za którymi powinny stać już oddziały szóstki.

Pełną napięcia ciszę przerwał gwizd.

- Nasi! – jeden z velitów dał sygnał, na chwilę wyłaniając się z kryjówek, ale Rolf ruchem ręki powstrzymał ludzi i odczekał, aż zza gęstwiny pokręconych, pożółkłych zarośli wyłoniły się pierwsze postaci w wypłowiałych zielonych cotte. Przodem biegł ork w barwach kohorty kondotierskiej, dalej łucznicy i skutaci. Rolf odczekał, aż dotrze do niego dowodzący.

- Setnik Halvard Moonfish, szósta zielonego – niedbale rzucił lekko zdyszany oficer, gdy w końcu zrównał się z dekurionem – Ruszcie zady, trzeba ratować Styryjczyków. No tak, gwardia utknęła na wzgórzu Cal... Ceal... coś tam. Tym tam – wskazał ręką kierunek.

- Cailean – wtrącił krytycznie Gezwog, który miał doskonałą pamięć do mapy – Jak to utknęli?

- Co jak? Wszak. Uparli się, że się nie cofną, gwardia się nie cofa, czy coś tam.

- „Gwardia umiera, ale się nie poddaje”, to...

- A gówno! – huknął zza pleców centuriona ork – Będziecie tu tera poezje opowiadać, czy pójdziemy ich wyciągnąć stamtąd?

- Dalborg, kultury trochę...

- Pójdziemy – przerwał Rolf – Ale skutich nie ruszę stąd na krok. Nie będę pytał co w ogóle robicie w tym sektorze, ale niech będzie. Bez sensu byłoby tracić gwardię na jakieś mało ważne wzgórze.

- Taaaa, mało ważne.... – warknął ork, ignorując wymowne spojrzenie swojego dowódcy – A że stamtąd jest widok na całą przeprawę i można z drugim brzegiem się zobaczyć, to pies.... Vessal marr krifaus foszkan...

- Ukróć no tego najemnika... – Gezwog zmrzął oczy zirytowany, wyzwisko pod adresem swojego oficera każdy żołnierz traktował prawie jak obelgę względem własnego ojca, a z Rolfem dodatkowo łączyła go długoletnia przyjaźń. Zanim ork nazwany Dalborgiem na poważnie się nastroszył, Halvard powstrzymał jego dążenie do zadymy, odciągając w tył. Rolf skorzystał z chwili, gdy wyjaśniali sobie zawile kwestie autorytetu.

- Weź czterdziestu ludzi, strzelców i zwiad. Ciśnij od północy wzgórza, tą ścieżką, którą zabezpieczyliśmy wczoraj. Jeśli wciągniecie Quaków w pościg, wyprowadzicie ich centralnie na nas, co wyjdzie z istotnym pożytkiem. Szóstą się nie przejmuj, u nich od dawna zapomnieli co to jest dyscyplina...

Huk wystrzałów zbliżał się, można już było wyczuć ten charakterystyczny, kwaśny, niepodobny do niczego, zapach wybuchowej substancji, która sprawiała, że pocisk wylatywał z rury na kiju ze śmiertoczną prędkością. Gezwog widział już rude kaftany, spowite burym dymem, widział złociste rozbłyski wystrzałów, słyszał charakterystyczne komendy gwardyjskiej tercji. Do tego absolutnie spodziewanego zestawu widoków nagle niespodziewanie dołączył inny. Kobięcy głos skandował dźwięcznie coś, co brzmiało jak zaklęcie i w istocie nim było. Słowa utonęły w łomocie i trzasku, Gezwog poczuł, że ziemia pod jego stopami drży, i pomyślałby że to może zmęczenie nieprzerwaną od miesiący walką, ale jego towarzysze i żołnierze z szóstej wyhamowali i niepewnie

łapali się najbliższych drzew lub przypadali do ziemi, nie chcąc się przewrócić. Gdzieś przed nimi przez ogólny huk przebił się przeraźliwy trzask pękających pni.

Kobieta nadal krzyczała zakłęcia, a do jej głosu dołączył jeszcze jeden.

Wergund chwiejnym krokiem przypadł do załomu terenu i spojrzał na roztaczający się przed nim widok. Na szczycie wzgórza, oparci o niewielką skałę stali Styryjczycy w regularnej tercji, muszkietierowie ładowali właśnie muszkiety, pikinierzy znieruchomieli w obronnym przykłęku, odgradzając towarzyszy od przeciwnika trzymetrowymi drzewcami, a pomiędzy nimi wojownicy z gotowymi do zdobycia rapierami czekali na podejście przeciwnika. To jednak raczej nie miało szans się wydarzyć.

Na wysuniętym do przodu skalnym cyplu stała kobieta w męskim czarnym stroju, potargane kasztanowe włosy miała przyprószone pyłem. Towarzyszyło jej czworo ulundo, o ile Gezwog był w stanie ocenić, były to khor'zighira zwane potocznie wśród ludzi „krzakami”. Jeden z nich, z ramieniem przechodzącym w korzeń niczym utwardzony karwasz i twarzą pokrytą zarostem z mchu, wprawnie szył z łuku do podbiegających pod wzgórze Qa, podczas gdy jego pobratymcy miotali kamienie i inne pociski.

Za to czarno odziana kobieta unosiła dłonie, tam gdzie wskazywały końcówki jej palców, czyli po obu stronach atakującej fali przeciwników, unosiły się kłęby pyłu, waliły się drzewa, a ziemia pękała z łomotem i hukiem. Powstająca dzięki zakłęciu szczelina wypływała kolejne warstwy skał i piachu, tworząc po „styryjskiej” stronie ziemną barykadę, która powoli zawężyła wojownikom Zapółudnia pole do ataku. I wydawało się, że lada chwila kolejny jej spazmatyczny gest ramion, kolejna fraza zakłęcia, domkną tę barykadę i zakończą starcie, ale wtedy spod ściany lasu zasyczały w powietrzu wystrzelone strzały. Wielkie podwójnie refleksyjne łuki Zapółudnia miały dużą dynamikę i nośność nawet na pół kilometra, rany po obsydianowych grotach miały szarpane krawędzie i nieładnie się goiły.

- Cofnąć się! – padła komenda od strony Gwardii, drzewiaści ulundo cofnęły się rzeczywiście, ale magiczka zignorowała lecącą w jej kierunku salwę i pełnym wściekłości zamachem ramion posłała przed siebie poderwany z ziemi grad odłamków. Z dołu rozległ się wrzask trafionych tym swoistym siekańcem ludzi, który wzbudził na twarzy kobiety widoczną, ewidentną satysfakcję.

I wtedy oberwała.

Ostatnia strzała niemal przypadkowo trafiła ją w czoło i obaliła na ziemię. Wśród Qa rozległ się wrzask triumfu i pierwsi wojownicy, dzierżący potężne, śmiertcionośne miecze o krawędziach nabijanych obsydianem, wyłonił się z dołu. Z szeregu gwardii z okrzykiem wyłamał się jeden ze Styryjczyków, ruszając biegiem w dół, za nim zawrócili też ulundo.

- Teraz! – wrzasnął Gezwog i nie usłyszał niemal równocześnie wydanej komendy styryjskiej. Gwardia ruszyła truchtem, w biegu niemal wywalając salwę, która zakryła ich dymem. Z tego dymu wyłonił się niczym duchy, rapiery uderzyły w atakujących i cofnęły się, piki zmiotły kolejny szereg i stanęły nieruchomo, by dać muszkietierom miejsce na kolejną salwę. Ale ta już nie nastąpiła. Zza pleców gwardii z wrzaskiem wyłoniła się wergundzka odsiecz. Gezwog kątem oka dostrzegł jeszcze, jak magiczka, najwyraźniej drażnięta tylko w czoło, podrywa się i lekko tylko przytłumionym głosem kończy swoje zakłęcie. Ziemia pękła niczym dojrzały arbuz, pochłaniając tych Qa, którzy nie zdążyli się cofnąć, a tych, którzy pozostali po niewłaściwej stronie szczeliny, zostawiając na pewną śmierć.

- To nie było mądre! – wrzasnął rudy gwardzista, ocierając pot z czoła wymiętym kapeluszem – Emilio! To mogło być twoje ostatnie zakłęcie....

- Spadaj, Nat... – kobieta w czerni odpowiedziała głosem o temperaturze lodu – Mogło być, ale nie było – ucięła, otrzepując gładki kaftan i poprawiając mankiety. Na palcu błysnął delikatną tęczę filigranowy pierścionek – Dzięki, nie trzeba – chłodno odtrąciła ramię mężczyzny, który chciał opatrzeć jej rozciętą skroń. Minęła go, jakby był niewidoczny i ruszyła ku skałom, jakby to one

właśnie najbardziej zaprzętały teraz jej uwagę. Styryjczyk, ten który wyłamał się z szyku jej na pomoc, zacisnął szczęki i zmiął w ręce bandaż. Towarzysze za jego plecami spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

- Szlag mnie trafi – mruknął ten nazwany wcześniej Natem – Leni, powiedz mu...

- Odpuść, Calid – czarnowłosa i niebieskooka Styryjka, do której się zwrócił, położyła rękę na ramieniu przyjaciela – Za którymś razem stracisz przy tym łeb, jak nie w walce, to ktoś cię kiedyś rozliczy za niesubordynację...

- I? – Calid zdjął kapelusz, wkładając w denko złożony płasko bandaż – Nawet jeśli, to byłoby dokładnie tyle ile jestem winien.

- Nic jej nie jesteś winien, człowieku! – zirytował się Nathaniel – To nie była twoja wina...

Dalszą rozmowę przyjaciół przerwało nadejście Wergundów. Niedysiejsi wrogowie już dawno przyzwyczaili się do faktu, że walczą po jednej stronie i wrogość zastąpił chłodny szacunek, a czasem nawet serdeczność i przyjaźń. Teraz tym bardziej były powody do wylewnych podziękowań. Łucznik z rasy khor'zighira, imieniem Khaan, uściśnął Gezwoga i Halvarda tak, aż obydwaj zaczęli obawiać się o spoistość swoich żeber. Dowodzący oddziałem oficer w randzie furyera Nathaniel, korzystając ze stworzonej przez maginię Emilię przemy gruzu, zamienił ją w umocnioną barykadę. Linię obrony przesunięto tak, aby wzgórze stało się jej częścią, a za jego północnym stokiem rozbito obozowisko.

Nad polem bitwy opadał pył, pozwalając widzieć nieco wyraźniej. Rzeczywiście, ze wzgórza Cailean bez problemu widać było lśniącą w zachodzącym słońcu wstęgę rzeki i wzgórze po drugiej jej stronie, dymy ognisk przy przeprawie i łunę frontu na południowym wschodzie, a na północy nawet odległe wieżycy Styrgradu. Gdyby wartujący na jego szczycie Styryjczycy mieli wzrok sokoła, dostrzegliby być może na północnym brzegu Izery niewielki, łysy, skalisty szczyt, a na nim kilka postaci. Podobnie jak styryjscy wartownicy, obserwowali oni całą dolinę rzeki, analizując przy okazji jej zarys na mapie.

- Raagardre, Kizafiera, czy Białe Brody – powtórzył rudowłosy elf machinalnie, jakby to ułatwiało mu poszukiwanie odpowiedzi – Brody, Kizafiera, Raagardre...

- Ze względu na to, że utrzymali Cailean, uważam, że jednak środkiem – odziany w szare szaty dyplomata poprawił kaptur tak, żeby ocieniał mu twarz, zupełnie jakby obawiał się, że pomimo szczelnej obstawy ktoś jednak ich obserwuje – Przejęcie przeprawy otworzy drogę na stolicę, utrzymując efekt zaskoczenia może uda się Styrgrad wziąć z marszu...

- Nie liczyłbym na to, tulya'Astendet – mruknął wysoki i mocno zbudowany jak na elfa ohtat. Wprawne oko szpiega zauważyłoby zapewne przykrytą kosmykiem włosów bliznę na twarzy, po której rozpoznałby Nivarada Naitha, jednego z najwyższych dowódców armii Hetanoru na południu – Setillion ma rację, to powinna być Kizafiera.

- To powinny być Białe Brody – elfka, mówiąca te słowa, miała włosy zawiązane burą chustą na modłę talsojską i równie bezbarwny, lekko poplamiony kaftan, ściągnięty szerokim skórzanym pasem – Wzgórze Cailean będzie nieocenione, jeśli chodzi o kontrolowanie okolicy. Jeśli zablokujemy brody, to odcięcie Styrii w rejonie Kizafiery to będzie formalność. Na Raagardre nie ma szans, tu się zgadzam. Uderzając środkiem, połączymy się płynnie z korpusem Korheniego i rozerwiemy ich siły.

- Bzdura – sarknął Setillion – Wybacz, nyar'Urwena, ale to zmarnuje nasze możliwości. Omawialiśmy to już.

- Więc?

- Więc decyzja należy się tylko jednej osobie.

Tulya'Astendet Meliaor westchnął niezauważalnie. Powiódł wzrokiem po zgromadzonych przywódcach i wyczytał w nich tylko pewność i zdecydowanie. On sam, choć to on był tym kamykiem, który poruszył lawinę, pewności nie czuł.

Bezwiednie spojrzął na północ. Gdzieś tam, za zasłoną mroku i odległości dalekie Aenthil układało się do snu u stóp nieśmiertelnych drzew, w cieniu białych wież, spowite zapachem kwiatów i ziół...

Otrząsnął się. To jeszcze daleko. Ale każda droga zaczyna się od pierwszego kroku. A jego córka zbyt wielką cenę zapłaciła, by teraz się zastanawiać.

- Decyzja należy się tylko księżnej. Ale ona złożyła ją w moje ręce. Uderzamy na Kizafierę.

Zgromadzeni na skalistym szczycie elficcy dowódcy pozostali tam jeszcze długo w noc, w milczeniu, w ciemności, obserwując okolicę. Gdyby obserwowali nieco dokładniej, lub też raczej – gdyby obserwowali nie tylko wrogów, dostrzegliby zmianę warty swoich przybocznych oddziałów. Wartownicy stali tuż poniżej szczytowych skał i bezsprzecznie słyszeli większość słów, które padły na wzgórze. Jeden z nich, o kruczo- czarnych włosach, zdradzających przodka z rodu Laro, odmeldował się z warty i swobodnym krokiem ruszył w kierunku obozowiska. Po stu metrach ze śmiechem oznajmił towarzyszom, że zostawił na górze sakwę, a w niej istotne medykamenty. Rzeczywiście, uznali towarzysze, zostawiłeś ją na kamieniach. Elf, imieniem Saquarite, ruszył ku szczytowi, obiecując dogonic przyjaciół w obozowisku. Gdy tylko zniknęli za zakrętem, skręcił w las. Każdy, kto dostrzegłby Saquarite w lesie, zrozumiałby, że z całą pewnością nie należał do kasty ohtat, jak wskazywał jego ubiór i przydział służbowy. Szybkim truchtem przeszedł na południową stronę wzgórza, gdzie na stoku ponad las wznosił się skalny grzbiet. Elf wybrał takie miejsce, żeby absolutnie nie było możliwości zobaczyć go ze szczytu, wydobyl ze skrytki na pasie niewielki amulecik. Puzderko otwarte i aktywowane słowem mocy zaśnięło punktowym, różowawym światłem. Elf przysłonił je dłonią, po czym odsłaniał i zasłaniał kilka razy, nadając prosty świetlny sygnał.

Po drugiej stronie rzeki na wzgórzu Cailean magiczka Emilia da Tirelli samotnie siedziała nad wyrwaną przez jej własną magię szczeliną i rzucała w zamyśleniu kolejne kamienie, patrząc jak z głuchym echem odbijają się od ścian i rozbryzgują wodę, która zebrała się na dnie ponad piętnastometrowej przepaści. Na jej lewej dłoni kołysał się niewielki wisiołek, z odległości trudno było dostrzec, co takiego bujało się na prostym, posrebrzanym łańcuszku.

Spod skały także nie było tego widać, ale siedzący tam gwardzista wiedział doskonale. Pamiętał jej narzeczonego, eleganckiego młodzieńca o ofirskim akcencie. Ona też go pamiętała i nie musiała w tym celu patrzeć na puzderko, zawierające kosmyk jego włosów. Calid nie liczył na to, że ona kiedyś zapomni tego, którego kochała, a który pozostał w jaskiniach pod Vekowarem. Nie liczył na to, że po tylu latach, przez które towarzyszył jej na jej szlaku zemsty, ona kiedyś spojrzy na niego inaczej niż na towarzysza i ochroniarza. Przestał na to liczyć dłuższy czas temu. Ale stał, jak zawsze, żeby być obok, jeśli będzie trzeba, to odciągnąć ją z dala od kuszącej krawędzi albo spod wrogich ostrzy. Był jej to winien. Tak uważał.

Nikt inny tak nie uważał. Siedzący przy ognisku już nawet nie komentowali tej sytuacji, skupili się na czyszczeniu broni i porządkowaniu ekwipunku. Leni, korzystając z tego, że nikt jej nie obserwuje, odeszła od ognia ku szczytowi wzgórza. Odprawiła dwóch styryjskich wartowników, przejmując ich służbę i upewniła się, że oprócz Calida i Emilli w najbliższej okolicy nikogo nie ma. Odłożyła muszkiet pod skałą i wprawnie wspięła się na szczyt. Stamtąd widać było jeszcze lepiej całą dolinę obu rzek, lśniących w świetle księżyca bladymi wstęgami.

Oraz różowe światelko sygnału z drugiej strony rzeki.

Przykłękła na kamieniu, w zamyśleniu analizując treść otrzymanej wiadomości.

- Kizafiera... – szepnęła, wydobywając medalion do nadania odpowiedzi.

Saquarite, uzyskawszy potwierdzenie odbioru, zamknął puzderko i zabezpieczył za pasem. Odwrócił się i już miał ruszyć z powrotem, gdy poczuł obecność. Poczuł ją tak, jak tylko nyarowie

potrafili odczuwać, zmysłem, który nie istniał u innych. Był pewien, że ktoś jest obok. Znieruchomiał, wyęzając wzrok i słuch. Ale te zawodziły.

Jest za mną, pomyślał. Odwrócił się gwałtownie... i wtedy poczuł chłód ostrza na skórze karku.

- Lomin... – szepnął, wiedząc, że tylko Człowiek Cienia byłby w stanie zaskoczyć go w lesie. Odpowiedział mu niemal bezgłośny śmiech.

- Przekazane?

- Tak, lomin'Onfis – nyar zauważalnie odetchnął – Udała się cała operacja, ich wywiad uważa mnie za swojego agenta, a nyar'ów za potencjalnych sojuszników. Negocjacje z Lothelem z Caer sprawiły, że uznali mnie za godnego zaufania. Po śmierci Ylvy łatwo dali się przekonać, że możemy zrezygnować ze zmiany stron. Tulya'Astendet bardzo wiarygodnie przekonywał, że stoi na straży Trójprzymierza, które sam podpisał, a córki wyparł się jako zdrajczyń. Elidisa nikt nie słuchał. Wywiad styryjski banalnie łatwo to złapał, biorąc za dobrą monetę fakt, że zostali poinformowani o zdradzie Hetanoru od nowa. Po naszej stronie wciąż nikt nie wie...

Elf wciąż jeszcze mówił, zajęty zdawaniem raportu, minęła więc niezwykle długa sekunda, zanim do jego mózgu dotarło, że nie żyje. Lomin płynnym ruchem cofnął ostrze i wytarł je o ubranie zabitego.

- I tak ma zostać. Wywiad styryjski zemścił się oto za podanie mu fałszywej informacji. Bo Ylva Darren żyje i wciąż pilnuje tej sprawy, mój drogi, niedouczony nyar'Saquarite.

Przywódca Ludzi Cienia, będący ostatnio bardziej politykiem niż skrytobójcą, rzadko już brał sprawy we własne ręce, ale wciąż pozostawał mistrzem w swoim fachu. Gdy dotarł na szczyt wzgórza, nikt go nie zauważył. Dopiero Urwena wyczuła jego wyczekującą obecność, podobnie jak przed chwilą Saquarite, i odwróciła się szukając wzrokiem ukrytej postaci. Bawienie się w chowanego ze swoimi nie miało sensu.

- Sprawa dokonana – powiedział cicho – Możemy zaczynać.

Pozostali odwrócili się, wyraźnie zaskoczeni jego obecnością, ale nikt nie skomentował. Na chwilę zapadła cisza, po czym Astendet wezwał adiutanta i poważnym głosem przekazał mu rozkaz uderzenia na Białe Brody.

Leni było skrótem od Madleni i agentka pomyślała, że chyba by się wściekła, gdyby musiała nosić to imię. Schowawszy sygnałowy medalion wydobyła jeszcze szybko małą fiołkę i wkropiła sobie do oczu odrobinę zawartości. Gdyby ktoś mógł ją zobaczyć, zauważyłby, jak pociemniałe przedtem oczy robią się na powrót błękitne. Schowała fiołkę i znieruchomiała. Pod skałą usłyszała szelest. Spojrzała – Calid i Emilia siedzieli wciąż na swoich miejscach. Ten Wergund, pomyślała, widząc w ciemności zarys munduru, widziałam go w osadzie Krevaina. Diabli nadali.

Dyskretnie zsunęła się po drugiej stronie skały i poczekała aż Gezwog wróci do ogniska, po czym bezszelestnie podeszła do Calida. Gwardzista zerwał się, zaskoczony.

- Na litość bogini, Yl.... Leni... – zmitygował się w pół słowa, po czym dostrzegł jej poważny wzrok – Wiadomość?

- Mhm – potwierdziła mruknięciem – Potrzebuję gońca do sztabu. Nie. Trzech gońców, jednego mi zdejmą.

- Jasne. Zaraz będą. Co podał?

Ylva wyciągnęła z sakwy trzy małe fiołki, w których środkach kryły się małe zwoje papieru. Na każdym małym rysikiem wypisała nazwę, zwinęła, wrzuciła z powrotem do pojemniczków i zalała tym samym płynem, którym przed chwilą zakropiła oczy, zapewniając im nienaturalną, niebieską barwę. Aby odczytać wiadomości, trzeba było wkropić najpierw neutralizator, inaczej po zetknięciu z powietrzem papier błyskawicznie czerniał i był nie do odczytania.

- Podał Kizafierę.

Gwardzista sapnął głośno.

- Cholera, trzeba będzie wzmocnić całą zachodnią flankę, zdjąć część osłony z przeprawy...

- Nie.

- Co?

- Nie. Nasz rzekomy agent wśród elfów był fałszywką. Uderzą na Białe Brody. Jeszcze dziś w nocy.

Władca Koni

Rajni

Księżyc świecił ostrym blaskiem, zalewając całą równinę kaskadami bladego światła. Rajni, najstarsza córka kniazia plemienia Urdu dociągnęła popręg biegnący pod brzuchem smukłego siwka, leniwie skubiącego kępkę żółknącej trawy. Step powoli szykował się na nadejście gorącego, suchego lata. Żywa zieleń ustępowała stopniowo i gdzie niegdzie można już było dostrzec bladożółte pola wysuszonej darni. Wyuczonym ruchem wsunęła dwa palce pod skórzany pas, sprawdzając, czy zostawiła wystarczająco dużo miejsca dla swobodnego ruchu końskiej klatki. Przeczuwała, że oboje się zmęczą. Rzuciła jeszcze przelotne spojrzenie w stronę rodzinnego namiotu, ale nikt nie wyszedł, żeby ją pożegnać.

Na dobrą sprawę mogła się tego spodziewać. Zwinnym susem znalazła się w siodle. Uśmiechnęła się pod nosem wspominając, jak kiedyś, jeszcze za jej lat dziecięcych do osady przybył wędrowiec z kraju na południu. Był dość bogato odziany, a do tego opowiadał ciekawe historie o pięknych miastach z wielkimi świątyniami i fontannami. Szczególnie dobrze zapamiętała właśnie te fontanny, bo wizja otoczonego kamiennymi blokami źródła wydała jej się niesłychanie zabawna. Co prawda wędrowiec opowiadał coś o skomplikowanych systemach, które miały zasilać to źródło, ale kto by się tym przejmował. Szczególnie, że zarówno miasta jak i fontanny zostały zniszczone przez hordy strasznych stworzeń. Pamiętała, że jakiś czas po tych historiach śniły jej się upiorne sceny walki, pełne ludzi o twarzach porośniętych mchem albo skórze z kamienia. Wędrowiec pałał do nich wielką nienawiścią, bo to przez nie musiał uciekać z kraju. Czy coś takiego. Nie była tego do końca pewna. Ale pamiętała doskonale jak chłopcy zaproponowali mu konną wycieczkę po okolicy. Osiedłali dla niego najbardziej potulną, starą klacz, która służyła już tylko do nauki jazdy dla na prawdę małych dzieci, a i tak kilka razy musieli zbierać go z ziemi. Nie mówiąc już o straszliwym lamencie, który podniósł już po kilku godzinach jazdy, a wywołany był tylko i wyłącznie siodłem.

A raczej tym jak bardzo wbijało mu się w najszlachetniejszą część ciała.

Rzeczywiście, może drewniane siodło nie należało do najwygodniejszych, ale Rajni przyzwyczajona do niego od dziecka zupełnie nie odczuwała tych niedogodności. Nie przeszkadzały jej też olbrzymie, bogato zdobione, metalowe nity wypadające w środkowej części ud, a dla wędrowca stanowiące prawdziwą zmołę.

Uśmiechając się do wspomnień, poprawiła się w kulbace i popędziła siwka do galopu. Musieli się spieszyć. Księżyc świecił jasno i miała wrażenie, że dzięki temu duchy widzą ją wyjątkowo dobrze. Czowała ich obecność, zarówno tych dobrych jak i tych mniej przyjaznych, czekających tylko aż zaśnie ukołysana miarowym taktem końskich kroków. Dlatego zdobienia kłuły w uda, zawsze wrywając z drzemki na czas. Doskonale wiedziała, że zasypiając na grzbiecie siwka od razu przeniesie się do dolnego świata. Miała do tego naturalną predyspozycję, co nie cieszyło nikogo w rodzinie, bo nie wykazywała przy tym innych zdolności szamańskich. Niebieskie wstążki zawiązane na końskiej grzywie unosiły się na wietrze, stanowiąc przestrożę dla wszystkich istot czających się na nią na pograniczu światów. Czerwona szarfa, którą nosiła na czole dawała dodatkowe poczucie bezpieczeństwa.

Przecież ją wybrał.

Kniaź Sukkbaatar miał siedem córek, a on wybrał właśnie ją.

Czasem nachodziła ją myśl, że smutno będzie pożegnać się z nieskończoną, porośniętą trawą równiną, błyszczącą łysiną księżycą i aksamitnymi chrapami siwka, którego dostała na trzynaste urodziny.

Ale nie było wyboru. Czuła, że z każdą nocą jej czas się kurczy i, że już niedługo na jej miejsce przyjdzie kolejna, a potem kolejna. Tak po prostu było. Plemię Urdu trwało na straży tajemnicy od lat.

A dopiero od niedawna ta tajemnica stała się jedną z najpilniej strzeżonych na świecie.

Tropiciel

Tropiciel dopiero niedawno trafił na kolejny ślad. Poprzedni urwał się nagle i niespodziewanie, kiedy zmuszony był salwować się ucieczką przed konnymi, którzy wyjechali po dziewczynę. Podążanie za nimi na stepie nie było łatwe. Rozległe, trawiaste przestrzenie wymuszały trzymanie dużego dystansu, a dziewczyny były przyuczone do częstej zmiany trasy i sprytnego kluczenia przy blasku księżycą. Dlatego podziękował Wielkiemu Duchowi za pomyślność, kiedy niemal przypadkowo odnalazł świeżą ścieżkę wśród wysokich traw, które o tej porze roku były dużo bardziej suche i łamliwe, dodatkowo ułatwiając mu pracę. Jakby na potwierdzenie swoich przypuszczeń znalazł wdeptaną w ziemię końskim kopytem, delikatną, niebieską wstążeczkę. Uśmiechnął się spierzchniętymi ustami, ale zachował czujność. Wciąż nosił w pamięci ostatnią porażkę, kiedy jakaś sprytna siksa wyprowadziła go w pole, chyba kilkakrotnie przejeżdżając dość długi odcinek po swoich własnych śladach. Poranek zastał go wtedy nad nagle urwanym tropem, a chichot duchów stepu smagał go po plecach jak bicz. Ale rzadko zdarzało się, żeby dziewczyny miały tak dużo czasu. Często kluczyły i starały się łamać trop, ale na to był przygotowany.

Tym razem coś podpowiadało mu, że jest inaczej. Jadąca tędy dzierlatka wyraźnie się spieszyła, a niebieskie wstążeczki świadczyły wyraźnie, że miała już do czynienia z duchami należącymi do Selenge. Aż wzdrygnął się na samą myśl. Darzył szamanek dużym szacunkiem, ale głównie wynikał on z obawy przed jej wielką, zupełnie niekontrolowaną mocą. Władza wielką ilością duchów, a pozycja przy Wielkim Kaganie pozwalała jej na spełnianie wszystkich ich zachcianek i tym samym na utrzymywanie całej hordy w gotowości. A jednocześnie sama nie była w stanie odnaleźć Kurhanu. Gdy zwróciła się do niego z prośbą o pomoc w tym przedsięwzięciu poczuł się mile połączony.

Obecnie czuł się trochę bardziej jak niewolnik ciągnięty w jasyr. Niby miło, że nie zabili od razu, bo to znaczy, że doceniają walory, ale z drugiej strony perspektywa na horyzoncie też niezbyt ciekawe.

Jako epitafium dla jego niewesołych rozmyślań na wydeptanej wśród pożółkłych traw ścieżce wyrosło nagle imponująca górka końskich odchodów.

Tropiciel ucieszył się. Nie lubił się tym chwalić, ale teraz był w stanie określić, kiedy ostatni raz dziewczyna stawiała na popas i co oraz w jakiej ilości jadł wtedy jej wierzchowiec. Za dzieciaka śmiali się, że on nawet maść konia ustali na podstawie jego gówna.

I choć nie była to prawda, miał niejasne przeczucie, że wierzchowiec dziewczyny jest siwy.

Rajni

Kurhan z daleka przypominał zwykły pagórek. Pamiętała, że kiedy zobaczyła go po raz pierwszy była bardzo zawiedziona. Sama nie potrafiła zdefiniować, czego się spodziewała, ale na pewno nie tego. Ot, zwykła górka porośnięta nieregularnymi plamami trawy. Dopiero, kiedy znalazła się w środku, zrozumiała, dlaczego Kurhan nie może być imponujący z zewnątrz.

Złożono w nim wspaniałe bogactwa, mające stanowić dobytek Mori Khana gdyby zdecydował się obudzić.

Jednak na razie nic na to nie wskazywało. Jego duch krążył gdzieś po wszystkich trzech światach, a ciało spoczywało w centralnej komorze, wciąż żywe i ciepłe, chciwie pijące jej energię i krew, zabierające powoli kolejne lata życia na rzecz swoich dni. Sama nie wiedziała, czy bardziej go kocha czy nienawidzi. Legenda mówiła, że Okhin która doświadczy przebudzenia Mori Khana zostanie jego pierwszą żoną, a bieda, głód i wojna nigdy nie będą jej udziałem. Rajni nie była przesadnie naiwna, dlatego brała legendy przez grube sito, ale za każdym razem liczyła podświadomie, że w końcu zobaczy oczy mężczyzny. Kto wie, może nawet rozświetlone miłością do jej osoby. Ale zamiast tego w każdym odbiciu swojej twarzy widziała coraz więcej okalających ją, białych jak mleko pasemek. To nie wróżyło dobrze. Wiedziała, że kiedy jej włosy zbieleją skończy się czas posługi dla Mori Khana, a zacznie czas umierania. Jeśli będzie miała szczęście to potrwa to nawet kilka lat, podczas których będzie mogła przygotowywać kolejne dziewczynki do roli Okhin. Ale знаła też takie, które przekraczały granice światów już po kilku dniach.

Kurhan był bardzo duży, dodatkowo drażony w ziemi. Komory wykonane były z kamienia i drewna, które rzeźbiono w sceny z pieśni. Wielcy bohaterowie walczący z demonami i duchami zerkali na nią kątem oka, a piękne kobiety towarzyszące im podczas zupełnie innych scen, spoglądały zalotnie. Do centralnej komory prowadziły dwie mniejsze.

Pierwsza, stanowiąca niejako przedsionek całego kurhanu, obłożona silnymi zaklęciami i klątwami, strzeżona przez duchy zakłete w drewnie i kamieniu przed wieloma laty. Co rok książę plemienia Urdu razem ze swoimi szamanami zamykali w tym pomieszczeniu kolejne duchy, zaprzęgające je w służbę Mori Khana. Podobno upodobał sobie szczególnie duchy koni, dlatego ze ścian pierwszej komory wyrastały drewniane, pięknie rzeźbione, końskie łby o oczach wysadzanych lśniąco kamieniami. Zawsze kiedy zapalała świeczkę, miała wrażenie, że w tych oczach pobłyskuje życie. Duchy przepuściły ją bez trudu, rozpoznają niczym starą przyjaciółkę.

Druga komora była przeznaczona dla Okhin. Mogła tam zostawić swoje szaty, obmyć się z trudów podróży, wycesać splątane włosy. Wisiały tu dwa wielkie lustra w bogato zdobionych ramach. Ktoś umieścił je na przeciw siebie, tak, że kiedy stała na środku zwielokrotniały jej sylwetkę w nieskończoność. Jak zawsze przyjrzała się sobie krytycznie, przesunęła palcami po włosach. Sięgały jej już dobrze za pas, a krótka grzywka dobitnie świadczyła o wieku. Dziwnie się czuła patrząc na czerń, która towarzyszyła jej od dzieciństwa, wypieraną stopniowo przez niezdrową, trupią biel. Założyła zwiewną, białą szatę, jedną z wielu leżących w olbrzymich, drewnianych skrzyniach. Przepasała się czerwoną szarfą, którą wcześniej miała na czole. Na nadgarstki i kostki założyła grube, złote bransolety. Na pasie zapięła jeszcze złoty pas z małym, ale bardzo ostrym nożykiem. Niewielka, pozioma blizna na jej lewym nadgarstku błysnęła spod bransolety.

Wodę przywiozła ze sobą, w dużych, skórzanych bukłakach, teraz tylko przelała ją do srebrnych mis. Do jednej kilka kropel wonnych olejków, a drugiej rozpuściła krążek mydła.

Powoli, żeby nie wylać nawet kropli, zanosła je do komory centralnej, ustawiła na kamiennym postumencie tuż obok niego.

Mori Khan jak zwykle pogrążony był we śnie. Skórę miał bardzo bladą i suchą, co mogła ocenić nawet w rozchybotanym blasku świec, a usta spierzchnięte. Chyba rzeczywiście zbyt długo zwlekła z wizytą w Kurhanie. A może jej poprzedniczka nie dotarła? Spojrzała na duże, wąskie dłonie mężczyzny oceniając długość paznokci. Rzeczywiście, wyglądało na to, że nikogo tu nie było przynajmniej przez kilka dni. Poczula na karku zimny dreszcz. Wiedziała, że Selenge ściga je i tropi, spragniona mocy Mori Khana. Ale dotychczas ochrona, którą zapewniało im bycie Okhin w zupełności wystarczała. Czyżby coś się zmieniło?

Przystąpiła do długiego, żmudnego procesu pielęgnacji szamana. Mimo, że ciało się nie starzało podlegało podobnym procesom jak ciało człowieka pogrążonego we śnie. Utrzymanie Mori Khana w dobrej kondycji wymagało ciągłych masaży, odpowiedniego układania przy pomocy miękkich poduszek, mycia i natłuszczania skóry, obcinania paznokci i zaplatania włosów. Wszystkie

Okhin uczyły się tego pod czujnym okiem tych, których włosy zbiegały jak śnieg. Później każda spędzała w Kurhanie kilkanaście dni, aż została zmieniona przez następną. Okhin nie znały się, zazwyczaj ich wizyty przebiegały w jednodniowych odstępach. Pieczę nad nimi wszystkim sprawował doradca jej ojca, stary szaman Czuluud Gol, dbający by zawsze była odpowiednia liczba Okhin do opieki nad Mori Khanem i nadzorujący czasami ich pracę.

Rajni wyciągnęła nożyk. Nacięła bliznę głęboko, a krople żywoczerwonej krwi zaczęły spadać na spierzchnięte usta mężczyzny, potem na zamknięte powieki i blade policzki. Wszystkie parowały po kilku sekundach, jakby skóra szamana sprawiała, że parują.

Tak jak ją uczyli, najwięcej kropel spadło w miejsce bijącego serca, którego drżenia mogła wyczuć pod palcami.

Tropiciel

Koń puszczonego był wolno i niewprawy obserwator pewnie uznałby go za zwykłego, dzikiego rumaka. Ale nie on. On widział delikatne zniekształcenia od siodła i typową postawę wierzchowca. Rzeczywiście, był siwy. Doskonale wiedział, że nawet nie podejdzie do zwierzęcia. Wszystkie samnijskie konie były złośliwymi bydłętami znoszącymi (choć nie zawsze) tylko swoich właścicieli, w dodatku zda się, że w trudem. Ale niedaleko końskiej sylwetki wyrastał wyjątkowo nieurodziwy pagórek. Trochę nie chciał mu się wierzyć, że to osławiony Kurhan, miejsce spoczynku najpotężniejszego szamana tej ziemi, którego imię przyprawiało Selenge o ostry ból głowy. Ale tropy prowadziły dokładnie tutaj. Nie był pewien ile osób było w środku. Z obserwacji wynikało, że zajmują się nim same dziewczyny, głównie pochodzące z plemienia Urdu, w dodatku przybywające tu samotnie. Jednak, jak nauczyło go życie, ostrożności nigdy za wiele.

Poprawił pas z kindziałem i zaczął podkładać się po łuku, starając ominąć konia z jak największej odległości. Wolałby już chyba konfrontować się z wściekłym psem.

W końcu dotarł do pagórka. Rzeczywiście teraz mógł dostrzec niepozorne, drewniane drzwi w kamiennym omurowaniu. Były bardzo małe, tak, że aby wejść będzie musiał się niemal zgiąć wpół.

Zawahał się.

Może to nie było to miejsce?

Wyobraził sobie, że wraca do Selenge i mówi jej, że znalazł jakiś kurhan.

Co jest w środku, pyta szamanka, a jej nienaturalne, błękitne jak niego oczy zwięzają się w szparki.

Nie wiem, odpowiada on z rozbrajającą szczerością, bałem się zajrzeć.

Aż zaśmiał się w duchu z tej sceny, chociaż jej kontynuacja nie była szczególnie przyjemna.

Możliwie cicho starał się popchnąć drzwi. O dziwo, ustąpiły zupełnie bez skrzypnięcia, lekko i miękko. Oczywiście, że wyczuł podstęp. Nie był głupi.

Ale nie był też magiem ani szamanem, żeby teraz rzucić jakieś zaklęcie i obserwować, co się dzieje. Mógł tylko wejść, choć intuicja podpowiadała mu, żeby rzucić to wszystko w cholerę i wiać do Pethabanu. Mógłby założyć tam plantacje i nosić turban. Na pewno coś tam uprawiają.

Skulił się i wszedł do środka, schodząc po kilku stopniach w dół. Pomieszczenie było dość wysokie, żeby się wyprostować. Z początku nie widział nic. Ciemność i zatęchłe powietrze.

A potem, kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności rozjaśnianej mdłym światłem pojedynczego kaganka, dostrzegł setki par końskich oczu patrzących na niego za ścian. Cofnął się, uderzając plecami w drzwi, które nagle były zamknięte. Usłyszał tętent końskich kopyt, dobiegający zewsząd. Końskie łby były coraz bliżej, jakby pochylały się nad nim. Widział rozdymające się gniewnie chrapy i błyszczące oczy, czuł gorący oddech na swojej twarzy. Otaczały go ze wszystkich stron, zacieśniały krąg. Miał ochotę krzyknąć, ale głos uwiązł mu w gardle.

Ciemność dookoła nich eksplodowała feerią barw.

Selenge

-Znaleźliśmy ciało na równinie przed Samakarandą, pani Selenge. Wygląda jakby został... stratowany przez konie?

Odprawiła ich ruchem ręki i ze złością rzuciła na ziemię ozdobny puchar. Potoczył się z głośnym brzękiem. Przycisnęła palce do skroni.

-Czy mogę przeszkodzić?- Mundzuk Bejzd, szaman z plemienia Urdu, pełniący obecnie funkcję najbliższego doradcy jej brata pojawił się niczym duch.

Uniosła na niego gniewna spojrzenie.

-Czego chcesz, Mundzuk?

-Doszły mnie słuchy, że twoi ludzie odnaleźli ciało tropiciela, który gościł tu kilka miesięcy temu. Słyszałem również, że powód śmierci wydaje się być... niepokojący.

Na jego przystojnej twarzy malował się obrzydliwy uśmiech triumfu. Mimo, że przecież wiedział, że jej duchy są w stanie w sekundę zmieść go z powierzchni ziemi. Ale wiedział też, że jej brat byłby wtedy wielce niezadowolony.

-Mówiłem ci, żebyś zostawiła w spokoju Mori Khana. Jego pomoc jej najlepszym, co mogło nam się teraz przytrafić.

-Gdybym miała moc Władcy Koni, to nie musielibyśmy być uzależnieni od widzimisie półmartwego szamana sprzed wieków- wycodziła wściekle- A to byłoby wielce pomocne w obecnym czasie.

Pokręcił głową w zadumie.

-Jesteś bardzo potężna Selenge, ale nie rozumiesz, że w przypadku Morki Khana chodzi o coś więcej. O absolutne oddanie. O poświęcenie. O zamknięty krąg.

Selenge, siostra Wielkiego Kagana Utherysa Sartariana, prychnęła.

-Też mi poświęcenie! Podróżowanie przez światy ze zgrabną możliwością powrotu, jak już mu się znudzi.

Mundzuk Bejzd zaplótł ręce na piersi.

-Widzisz Selenge, może w tym wszystkim nie chodzi tylko o niego. Ale nie jest dobrze, jeśli dziewczęta giną po drodze, lub jeśli opętują je duchy. Mori Khan nie jest wtedy zadowolony. Ale chcesz lub nie, jest wojna. A jego osoba jest jedną z kart przetargowych twojego brata. Więc powściągnij swoje żądze- spojrzał na nią niemal z rozbawieniem- Przynajmniej w tej kwestii.

Rajni natarła twarz mężczyzny olejkiem i przez moment miała wrażenie, że zobaczyła uśmiech błakający się na białych wargach.

Nad stepem unosił się wąski sierp księżyca.